

# MARCEL PROUST

W CIENIU  
ZAKWITAJĄCYCH  
DZIEWCZĄT, TOM  
TRZECI

Marcel Proust

**W cieniu zakwitających  
dziewcząt, tom trzeci**

«Public Domain»

**Proust M.**

W cieniu zakwitających dziewcząt, tom trzeci / M. Proust — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

Tom trzeci	5
Конец ознакомительного фрагмента.	27

# Marcel Proust

## W cieniu zakwitających dziewcząt, tom trzeci

### Tom trzeci

Po wyjeździe pana de Charlus, mogliśmy wreszcie z Robertem wybrać się na obiad do Blocha. Otóż w czasie tej małej uroczystości rozumiałem, że anegdota, których humor kolega nasz zbyt łatwo przeceniał, to były anegdota starszego pana Blocha, i że człowiekiem „bardzo interesującym” był zawsze któryś z przyjaciół ojca. Jest pewna ilość ludzi, których podziwiamy w dzieciństwie; ojciec odbijający inteligencją od reszty rodziny, profesor strojny w naszych oczach blaskiem metafizyki, którą nam odsłonił, kolega bardziej „awangardowy” od nas (jak Bloch w stosunku do mnie), który gardzi Mussetem z *Espoir en Dieu*, gdy my kochamy go jeszcze, kiedy zaś my dojdziemy do kultu „ojca Leconte” lub Claudela, będzie się już tylko unosił nad

A Saint-Blaise, à la Zuecca  
Vous étiez, vous étiez bien aise<sup>1</sup>...

dodając do tego

Podoue est un fort bel endroit  
Où de très grands docteurs en droit  
...Mais j'aime mieux la polenta  
...Passe dans mon domino noir  
La Toppatelle.

i ze wszystkich *Nocy* Musseta zapamięta tylko:

Au Havre, devant l'Atlantique,  
A Venise, à l'affreux Lido,  
Où vient sur l'herbe d'un tombeau  
Mourir la pâle Adriatique...

Otóż z człowieka, którego uwielbiamy na wiarę, zbieramy, cytujemy często z podziwem rzeczy o wiele lichsze od tych, które, zdani na własny instynkt, odrzucilibyśmy bezwzględnie, tak samo jak pisarz spożytkowuje w swojej powieści – pod pozorem, że są prawdziwe – „powiedzenia” osób, stanowiące, przeciwnie, w żywej całości element martwy i mierny. Portrety Saint-Simona – zapewne kreślone przez niego od niechcenia – są wspaniałe; powiedzenia natomiast znajomych mu dowcipnych ludzi, które przytacza jako urocze, wydają się nam mierne lub stały się niezrozumiałe. Nie raczyłyby wymyślić tego, co cytuje jako tak subtelne lub barwne w ustach pani Cornuel albo Ludwika XIV. Fakt ten, który można zresztą stwierdzić u wielu innych pisarzy, zawiera kilka możebnych interpretacji; na razie wystarczy nam jedna: mianowicie, że w stanie ducha, w jakim pisarz „obserwuje”, jest on o wiele niżej poziomu, na jakim się znajduje w chwili, gdy tworzy.

Był więc w moim koledze Blochu zawarty starszy pan Bloch, zapóźniony o czterdzieści lat w stosunku do syna; opowiadał głupawe anegdotki, śmiejąc się z nich tyleż piersią mego przyjaciela,

---

<sup>1</sup> *A Saint-Blaise, à la Zuecca* (...) – wiersz Alfreda de Musset (1810–1857), spopularyzowany potem jako piosenka, mówiący o pragnieniu, by żyć i umrzeć w Wenecji. [przypis edytorski]

ile to czynił sam stary Bloch zewnętrzny i prawdziwy. Do śmiechu, jakim parskał ojciec, nie bez uprzedniego powtórzenia dwa lub trzy razy ostatniego słowa, iżby publiczność mogła dobrze ocenić historyjkę, przyłączał się hałaśliwy śmiech, jakim syn nie omieszkał witać przy stole anegdot ojcowskich. I tak, po bardzo inteligentnych spostrzeżeniach, młody Bloch, ujawniając dziedzictwo rodzinne, powtórzył nam po raz trzydziesty jedno z owych powiedzonek, jakie starszy pan Bloch wydobywał jedynie (wraz ze swoim tużurkiem) w uroczyste dni, gdy młody Bloch przyprowadził kogoś, kogo warto było olśnić: któregoś ze swoich profesorów, kolegę laureata lub, tego wieczora, Roberta de Saint-Loup i mnie. Na przykład: „Bardzo tęgi strategik, który nader uczenie wywiódł i dowiódł, dla jakich niezawodnych przyczyn w wojnie rosyjsko-japońskiej Japończycy będą pobici, a Rosjanie zwyciężą”; albo też: „To jest najlepszy polityk między finansistami, a najlepszy finansista między politykami”. Te powiedzonka zastępowała czasem anegdota o baronie de Rothschild lub o sir Rufusie Israels, wprowadzająca na scenę tych potentatów w sposób dwuznaczny, zdolny obudzić przekonanie, że pan Bloch zna ich osobiście.

Ja sam złapałem się na to, i ze sposobu w jaki starszy pan Bloch mówił o pisarzu Bergotte, sądziłem, że to jest jego stary przyjaciel. Otóż wszystkich dawnych ludzi pan Bloch znał jedynie „tylko tak”; widział ich po prostu z daleka w teatrze lub na bulwarach. Wyobrażał sobie zresztą, że jego własna fizys, jego nazwisko, jego osoba, nie są im obce i że spostrzegając go, muszą często wstrzymywać mimowolną chęć ukłonu. Ludzie światowi, znający wybitnych ludzi w oryginale, miewający ich u siebie na obiadach, nie rozumieją ich przez to lepiej. Ale kiedy się żyło trochę w „wielkim świecie”, głupota jego mieszkańców zbyt wiele ponęt wróży nam i zbyt wiele każe nam przypuszczać inteligencji w owym skromniejszym świecie, znającym wszystko „tylko tak”. Miałem sobie z tego zdać sprawę z okazji Bergotte'a.

Pan Bloch nie sam jeden cieszył się powodzeniem w swoim domu. Młody Bloch, mój kolega, miał go jeszcze więcej u sióstr, które bez przerwy zaczepiał niby to zrzędząc, spuszczać głowę w talerz i rozśmieszając je tym do łez. Przejęły zresztą język brata, którym mówiły biegle, tak jakby to był język obowiązkowy, jedyny dopuszczalny dla osób inteligentnych. Skorośmy przybyli, najstarsza rzekła do młodszej: „Idź uprzedź naszego roztropnego ojca i czcigodną macierz”.

– Suki – rzekł do nich Bloch – przedstawiam wam kawalera Saint-Loup o chyżych pociskach, który przybył na kilka dni z Doncières o budowlach z gładkiego kamienia, obfitego w konie.

Ponieważ Bloch był równie pospolity jak ocytany, przemowa kończyła się zazwyczaj jakimś mniej homeryckim żarcikiem:

– Nuże, zapnijcie trochę wasze chlamidy o pięknych klamrach, co to są za siuchy? Ostatecznie, wystawiajcie, ile chcecie, to nie moje.

I panny Bloch tarzały się ze śmiechu.

Powiedziałem ich bratu, ile radości mi sprawił, zalecając mi lekturę Bergotte'a, którego książki ubóstwiałem. Stary Bloch, znający Bergotte'a tylko z daleka, a jego życie jedynie z ulicznych plotek, miał równie pośredni sposób zapoznawania się z jego dziełami za pomocą sądów niby to literackich. Żył w świecie „obok”, w świecie ukłonów w próżnię i fałszywych sądów. Niedokładność, niekompetencja nie zmniejszają tam pewności siebie: przeciwnie. Jest to dobroczynny cud miłości własnej: skoro mało kto może mieć świetne stosunki i głęboką wiedzę, ci, którym ich zbywa, i tak uważają się za najlepiej obdarzonych. Optyka szczebli socjalnych sprawia, iż każdy uważa za najlepsze to miejsce, które sam zajmuje; taki spogląda z góry i z litością na największych, których omawia i obmawia, nie znając ich, których sądzi i lekceważy, nie rozumiejąc. Nawet w wypadkach, gdzie pomnożenie słabych osobistych zalet przez miłość własną nie zdołałoby każdemu zapewnić dawki szczęścia większej niż przypadła innym, a jemu koniecznej, zjawia się zawiść, aby dopełnić różnicy. Prawda iż, gdy zawiść wyraża się w lekceważących frazesach, wówczas słowa „nie chcę go znać” trzeba tłumaczyć jako: „nie mogę go znać”. To jest sens intelektualny. Ale sens uczuciowy jest: „nie

chcę go znać”. Taki człowiek wie, że to nie jest prawda, ale mówi to nie przez prostą komedię; tak mówi, bo tak czuje, i to mu wystarcza dla zniweczenia dystansu, czyli dla szczęścia.

Ponieważ egocentryzm pozwala w ten sposób każdemu człowiekowi widzieć wszechświat ułożony piętrami poniżej niego – króla – pan Bloch fundował sobie ten zbytek, aby być królem bezlitosnym, kiedy rano przy czekoladzie, widząc podpis Bergotte'a pod artykułem w zaledwie otwartym dzienniku, udzielał mu wzgardliwie śpiesznej audiencji, wydawał wyrok i delektował się satysfakcją powtarzania przy każdym łyku wrzącego napoju: „Ten Bergotte zrobił się nie do czytania. Jak to bydlę umie być nudne! I po to abonuje się dziennik! Co za wywijasy, co za fidrygały!”. I smarował rogalik masłem.

Ta złudna ważność starszego pana Blocha rozciągała się zresztą poza sferę jego prywatnych wrażeń. Po pierwsze, własne dzieci uważały go za wielkiego człowieka. Dzieci zawsze są skłonne albo obniżyć, albo przeceniać rodziców; dla dobrego syna ojciec jest zawsze najlepszym z ojców, nawet poza wszelkimi przedmiotowymi racjami podziwu. Otóż z tych racji nie był całkowicie wyzuty pan Bloch, człowiek wykształcony, sprytny, czuły ojciec. W najbliższej rodzinie lubiono go. O ile w „towarzystwie” sędzi się ludzi wedle pewnego niedorzecznego zresztą miernika i wedle reguł fałszywych, ale stałych, przez porównanie z ogółem innych wytwornych ludzi, w zamian za to w rozproszkowaniu mieszczańskiego życia obiady i wieczory rodzinne kręcą się dokoła osób, które się okrzykuje miłymi i zabawnymi, a które w „świecie” nie wytrzymałyby próby ani dwóch wieczorów. Poza tym w środowisku, gdzie nie istnieją sztuczne wielkości arystokracji, zastępuje się je wyróżnieniami jeszcze bardziej fantazyjnymi. Tak na przykład w rodzinie, a nawet u bardzo dalekich krewnych, rzekome podobieństwo w sposobie noszenia wąsów i w rysunku nosa sprawiało, że pana Blocha nazywano „omal księżę Aumale”. (W świecie „strzelców” w klubie lub w hotelu, jeden z nich, który nosi czapczkę na bakier i bardzo obcisłą kurtkę, dającą mu jakoby wygląd cudzoziemskiego oficera, czyż nie staje się swego rodzaju figurą dla kolegów?)

Podobieństwo było niezmiernie mgliste, ale można by rzec, że stało się tytułem. Powtarzano: „Bloch? który? księżę Aumale?”, tak jak się mówi: „Księżna Murat? która? królowa (Neapolu)?”. Pewna ilość drobnych oznak do reszty wyposażała pana Blocha w oczach jego krewieństwa w rzekomą dystynkcję. Nie puszczając się na zbytek własnego powozu, pan Bloch wynajmował w pewne dnię otwartą dwukonną wiktoria i objeżdżał Lasek Buloński, wygodnie rozparty, z dwoma palcami na skroni, a dwoma pod brodą; o ile ci, co go nie znali, nazywali go z tego powodu bufonem, rodzina była przekonana, że co się tyczy szyku, wuj Salomon mógłby dawać lekcje samemu Gramont-Caderousse. Należał do osób, które kiedy umierają, kronika światowa dziennika „Radical” mieni „sylwetą dobrze znaną paryżanom”; a to z przyczyny sąsiedztwa stołu w bulwarowej restauracji z naczelnym redaktorem tego pisma. Pan Bloch powiedział Robertowi de Saint-Loup i mnie, iż Bergotte tak dobrze wie, czemu on mu się nie kłania, że skoro go ujrzy w teatrze lub w klubie, odwraca oczy. Saint-Loup zaczerwił się, bo pomyślał, że ten klub to nie mógł być Jockey Club, którego ojciec jego był swego czasu prezesem. Z drugiej strony, musiał to być klub stosunkowo zamknięty, bo pan Bloch powiedział, że już by tam dziś Bergotte'a nie przyjęli. Toteż drżąc, że może „nie docenia przeciwnika”, Saint-Loup zapytał, czy to jest klub z ulicy Royale, uważany przez rodzinę Roberta za kompromitujący, a gdzie (jak słyszał) przyjmowano niektórych Izraelitów.

– Nie – odparł pan Bloch z niedbałym i dumnym zażenowaniem – to mały klubik, o wiele przyjemniejszy: Klub **Safandulów**. Bardzo się tam surowo obrabia cały światek.

– Czy to nie sir Rufus Israels jest tam prezesem? – spytał młody Bloch, chcąc dostarczyć ojcu sposobności zaszczytnego kłamstwa i nie domyślając się, że ów finansista nie posiada w oczach Roberta tyle uroku, co w jego własnych. W rzeczywistości do klubu Safandulów należał nie sir Rufus Israels, ale jeden z jego urzędników. Że jednak był bardzo dobrze ze swoim pryncypałem, miał do dyspozycji bilety wizytowe wielkiego finansisty i dawał taki bilet panu Bloch, kiedy ów jechał w podróż jedną z linii kolejowych, gdzie sir Rufus był w zarządzie; co sprawiało, że stary Bloch mówił: „Zajdę do klubu poprosić o rekomendację sir Rufusa”. I bilet pozwalał mu olśniewać konduktorów.

Panny Bloch bardziej zainteresowały się Bergottem; zaczem wracając do niego, zamiast się trzymać tematu „Safandulów”, młodsza spytała brata najpoważniej w świecie, bo sądziła, że nie ma na oznaczenie ludzi z talentem innych wyrażeń:

– Czy to jest naprawdę tak zadziwiający facet, ten Bergotte? Czy on należy do kategorii wielkich mogołów, facetów takich jak Villiers lub Catulle?

– Spotykałem go często na premierach – rzekł pan Nissim Bernard. – Bardzo niezgrabny, istny Schlemihl.

Ta aluzja do powiastki Chamissa nie była niczym ważnym, ale epitet **Schlemihl** należał do owego pół-niemieckiego, pół-żydowskiego dialektu, którym pan Bloch z lubością posługiwał się w zaciszu domowym, ale który uważał za pospolity i niewłaściwy przy obcych. Toteż objął wujaszka surowym spojrzaniem.

– Ma talent – powiedział Bloch.

– A! – rzekła poważnie siostra, jakby chcąc powiedzieć, że w tych warunkach można mnie usprawiedliwić.

– Wszyscy pisarze mają talent – rzekł z pogardą starszy pan Bloch.

– Zdaje się nawet – rzekł syn, podnosząc widelec i mrużąc oczy z diaboliczną ironią, że on ma zamiar kandydować do Akademii.

– Dajże pokój, nie ma na to dostatecznej wagi – odparł starszy pan Bloch, który nie zdawał się żywić dla Akademii tej samej pogardy co jego potomstwo. – Nie ma potrzebnego kalibru.

– Zresztą Akademia, to jest salon, a Bergotte nie ma dosyć szlifów – oświadczył ciepły wujaszek pani Bloch, nieszkodliwy i dobroduszny jegomość, którego nazwisko **Bernard** byłoby może samo przez się obudziło diagnostyczne dary mego dziadka, ale wydałoby się nie dość zharmonizowane z twarzą, jakby przeniesioną z pałacu Dariusza i odtworzoną przez panią Dieulafoy, gdyby imię **Nissim**, wybrane przez jakiegoś amatora pragnącego dać wschodnie uwieńczenie tej suzańskiej twarzy, nie było nad nią umieściło skrzydeł jakiegoś byka z ludzką głową z Chorsabad. Ale pan Bloch nie przestawał lżyć wuja, czy że podniecała go bezbronna dobroduszność ofiary, czy że wobec tego, iż wilę opłacał pan Nissim Bernard, korzystający z niej Bloch chciał okazać, że zachowuje swoją niezawisłość, a zwłaszcza że się nie stara pochlebstwem zapewnić sobie spadku po bogaczu. Pan Bernard był dotknięty zwłaszcza tym, że go traktują tak ordynarnie przy lokaju. Mruknął jakieś niezrozumiałe słowa, z których można było tylko rozróżnić: „kiedy *meszuresy* są w pokoju”. *Meszures* oznacza w Biblii sługę bożego. Między sobą Blochowicze określali tym wyrażeniem służących i bawili się tym zawsze, pewność bowiem, że ich nie rozumieją ani chrześcijanie, ani sama służba, cieszyła pana Nissim Bernard i pana Bloch w ich podwójnej właściwości chlebobawców i Żydów. Ale to ostatnie źródło radości stawało się źródłem niezadowolenia, kiedy byli goście. Wówczas pan Bloch, słysząc to *meszures*, znajdował, że wuj zanadto odsłania swoją stronę orientalną, tak samo jak kokota, zaprosiwszy swoje przyjaciółki razem z przyzwoitymi ludźmi, wścieka się, gdy one robią aluzje do swego zawodu lub używają brzydkich słów. Toteż prośba wuja nie tylko nie zrobiła wrażenia na panu Bloch, ale ten, wyprowadzony z równowagi, nie mógł się już powstrzymać. Nie stracił już ani jednej sposobności prześladowania nieszczęsnego wuja. „Oczywiście, kiedy jest okazja powiedzenia jakiegoś kołtuństwa *à la* pan Prudhomme, można być pewnym, że jej wuj nie przepuści. Pierwszy liżałbyś mu nogi, gdyby był tutaj” – krzyknął pan Bloch, podczas gdy pan Nissim Bernard, zasmucony, pochylił ku talerzowi swoją pierścienistą brodę, godną króla Sargonu. Mój kolega, od czasu jak też nosił brodę, również kędzierzawą i granatową, bardzo był podobny do swego wuja.

– Jak to, pan jesteś synem margrabiego de Marsantes, ależ ja go bardzo dobrze znałem – rzekł pan Nissim Bernard do Roberta. Myślałem, że chciał powiedzieć „znałem” w sensie, w jakim pan Bloch mówił, że zna Bergotte'a, to znaczy z widzenia. Ale pan Bernard dodał – Ojciec pański był moim bliskim przyjacielem.

Młody Bloch zaczerwienił się mocno, ojciec jego miał minę głęboko niezadowoloną, panny Bloch dławily się od śmiechu. Bo u pana Nissim Bernard pasja popisu, powściągnięta u starego Blocha

i u jego dzieci, zrodziła zwyczaj ustawicznego kłamstwa. Na przykład w czasie podróży, mieszkając w hotelu, pan Nissim Bernard (tak jak mógłby to zrobić starszy pan Bloch) kazał lokajowi przynosić sobie dzienniki do jadalni podczas śniadania, kiedy wszyscy siedzieli przy stole, aby widziano, że podróżuje z lokajem. Ale ludziom, z którymi zbliżył się w hotelu, wuj mówił (czego by nigdy nie zrobił jego siostrzeniec), że jest senatorem. Wiedział, iż kiedyś wyjdzie na jaw uzurpacja tego tytułu: w danej chwili nie mógł się oprzeć żądzy przechwałki. Pan Bloch wiele cierpiał od kłamstw wuja i od wszystkich kłopotów, jakie mu sprawiały.

– Niech pan nie zważa, on jest straszny blagier – rzekł półgłosem do Roberta, którego zajęło to tym żywiej, ile że się interesował bardzo psychologią kłamców. – Kłamliwszy<sup>2</sup> jeszcze niż Itakanin Odys, którego Atene nazywała wszelako najkłamliwszym z ludzi – uzupełnił nasz kolega Bloch.

– A to dopiero! – wykrzyknął pan Nissim Bernard – czyż ja się spodziewałem, że będę jadł obiad z synem mego przyjaciela. Ależ ja mam w Paryżu fotografię pańskiego ojca i nie wiem ile listów od niego. Nazywał mnie zawsze „swoim wujaszkiem”, nikt nigdy nie wiedział czemu. To był uroczy człowiek, czarujący. Przypominam sobie jeden obiad u mnie w Nizy, gdzie byli Sardou, Labiche, Augier... („Molier, Racine, Corneille” dodał ironicznie starszy pan Bloch, a młody dokończył: „Plaut, Menander, Kalidasa”). Pan Nissim Bernard, dotknięty, urywał nagle i pozbawiając się ascetycznie wielkiej przyjemności, wytrwał w milczeniu do końca obiadu.)

– Saint-Loup o kasku ze spiżu – rzekł Bloch – doberz no trochę tej kaczki o udach ciężkich od tłuszczu, na które znamienity ofiarник ptactwa rozlał mnogie libacje czerwonego wina.

Zazwyczaj, wydobywszy na intencję znamienitszego gościa anegdota dotyczące sir Rufusa Israels i innych, pan Bloch, czując, że wzruszył syna aż do rozczulenia, wycofywał się, aby się nie „spospolitować” w oczach „smyka”. Ale kiedy była jakaś całkiem wyjątkowa okazja, na przykład kiedy syn zdał doktorat, do zwykłej serii anegdot pan Bloch dodawał tę ironiczną uwagę, którą zachowywał raczej dla swoich osobistych przyjaciół (toteż młody Bloch był nadzwyczaj dumny, kiedy ojciec uraczył nią jego kolegów): „Rząd popełnił straszliwą gafę. Nie poradził się pana Coquelin! Pan Coquelin raczył wyrazić swoje niezadowolenie”. (Pan Bloch lubił pozować na reakcjonistę i afiszować się z pogardą dla aktorów).

Ale panny Bloch i ich brat zacerwienili się po uszy ze wzruszenia, kiedy starszy pan Bloch, chcąc się do końca okazać królewskim wobec przyjaciół syna, kazał podać szampana i oznajmił niedbale, że aby nas uraczyć, polecił kupić trzy fotele na przedstawienie, jakie Opéra-Comique dawała tego wieczora w kasynie. Żałował, że nie mógł dostać łoża. Były wszystkie zajęte. Zresztą zna te łoża, lepiej się widzi z fotelów. Ale o ile wadą syna (to znaczy tym, co syn uważał za niewidoczne dla oczu drugich) była ordynarność, wadą ojca było skąpstwo. Toteż pod nazwą szampana kazał dać w karafce lekkie musujące wino, a pod nazwą foteli wziął parterowe krzesła, o połowę tańsze, cudownie przeświadczony, dzięki boskiej interwencji swojej wady, że ani przy stole, ani w teatrze (gdzie wszystkie łoża były puste), nikt nie spostrzeże różnicy. Skoro nas pan Bloch napoił z płaskich kieliszków, które syn jego zdołał mianem „pucharów o głęboko wydrążonych ścianach”, kazał nam podziwiać obraz, który tak kochał, że go przywoził z sobą do Balbec. Oznajmił nam, że to jest Rubens. Saint-Loup spytał naiwnie, czy jest podpisany. Pan Bloch odpowiedział, rumieniąc się, że kazał ściąć podpis z powodu ramy, co jest bez znaczenia, skoro nie ma zamiaru sprzedawać. Po czym pożegnał nas spiesznie, aby się zagłębić w „Journal Officiel”, którego numery zagracały mieszkanie: lektura niezbędna dlań „wobec jego sytuacji parlamentarnej”, co do której charakteru nie dał nam ściślejszych wyjaśnień.

– Biorę szalik – oświadczył Bloch – jako że Zefir i Boreasz walczą ze sobą o lepsze na rybodajnym morzu, o ile się zaś trochę zapóźnimy po przedstawieniu, wrócimy aż o pierwszych blaskach różanopalcej Eos.

---

<sup>2</sup> *kłamliwszy, najkłamliwszy* – dziś: bardziej kłamliwy, najbardziej kłamliwy. [przypis edytorski]

– *À propos* – spytał Roberta, kiedyśmy się znaleźli na dworze – kto jest ten pocieszny facet w ciemnym garniturze, który się tryndał za wami po plaży przedwczoraj rano?

Zadrzałem, bom pojął natychmiast, że Bloch mówi z tą ironią o panu de Charlus.

– To mój wuj – odrzekł Saint-Loup urażony.

Nieszczęściem, „gafa” nie była rzeczą, której się Blochowi zdarzyło kiedy uniknąć. Aż go skrzywiło ze śmiechu:

– Moje uszanowanie! powinienem się być domyślić, ma pierwszorzędny szyk i nieopłaconą fizys ramola wysokiej klasy.

– Mylisz się najzupełniej, jest bardzo inteligentny – odparł Saint-Loup wściekły.

– W takim razie żałuję, bo jest mniej stylowy. Chętnie bym go zresztą poznał, jestem pewien, że bym napisał jakiś pełnowartościowy interes o takich cacusiach. Ten, na oko, jest morderczy. Ale pominąłbym stronę karykaturalną (w gruncie dość lichego gatunku dla artysty rozkochanego w plastycznym pięknie słowa) tej facjaty, która, daruj mi, rozśmieszyła mnie do łez na dobrą chwilę; uwydattiłbym arystokratyczną stronę twojego wuja, który w gruncie robi byczy efekt i skoro przejdzie pierwsza uciecha, frapuje bardzo wielkim stylem. Ale – rzekł, zwracając się tym razem do mnie – jest pewna rzecz, w całkiem innej kategorii pojęć, o którą chciałem cię spytać; i za każdym razem, kiedy się spotkamy, jakiś bóg, błogosławiony mieszkaniec Olimpu, każe mi całkowicie zapomnieć, że cię mam prosić o tę wiadomość, która już mogła mi być i z pewnością będzie mi bardzo użyteczna. Kto to jest ta piękna osoba, z którą spotkałem cię w zoologicznym ogrodzie, w towarzystwie pana (zdaje mi się, że go znam z widzenia) i panienki z długimi włosami?

Widziałem, że pani Swann nie pamiętała nazwiska Blocha, skoro mi wymieniła inne i określiła mego kolegę jako urzędnika ministerstwa; nigdy od tego czasu nie przyszło mi na myśl dowiedzieć się, czy Bloch istotnie tam pracuje. Ale w jaki sposób Bloch, który, wedle tego, co mi pani Swann wówczas powiedziała, był jej przedstawiony, mógł nie znać jej nazwiska? Byłem tak zdziwiony, że przez chwilę nie umiałem mu odpowiedzieć.

– W każdym razie, przyjm moje powinszowanie; nie musiałeś się z nią nudzić. Spotkałem ją kilka dni pierwej w kolejce obwodowej; pozwoliła zmierzyć swój obwód twojemu słudze; nigdy nie spędziłem równie lubych chwil i mieliśmy przedsięwziąć wszystkie kroki, aby się zobaczyć znowu, kiedy jakaś osoba, jej znajoma, miała tę niedelikatność, aby się wpakować do przedziału na przedostatniej stacji.

Milczenie, jakie zachowałem, nie podobało się widocznie Blochowi.

– Miałem nadzieję – rzekł – dowiedzieć się dzięki tobie jej adresu i iść do niej kosztować kilka razy na tydzień rozkoszy Erosa, miłego bogom; ale nie nalegam, skoro ty się bawisz w dyskrecję wobec fachowej wydry, która mi się oddała trzy razy z rzędu, i to w sposób najbardziej wyrafinowany, między Paryżem a Point-du-Jour. Odnajdę ją któregoś wieczora, prędzej lub później.

Byłem u Blocha z wizytą w następstwie tego obiadu, on mnie rewizytował, ale nie zastał mnie w domu. Zauważyła go Franciszka, która przypadkowo, mimo że bywał w Combray, nigdy go dotąd nie widziała. Tak iż wiedziała tylko, że to „ktoś z państwa, które znałem” przyszedł do mnie „z wizytami”; nie wiedziała „z jakim powodem”, ubrany „tak sobie”; słowem, nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. Wiedziałem, że niektóre pojęcia socjalne Franciszki pozostaną mi wiecznie nieprzeniknione; a polegały one może w części na pomieszaniu słów i nazwisk, które raz na zawsze wzięła jedne za drugie; mimo to nie mogłem się powstrzymać (ja, który od tak dawna wyrzekłem się stawiania sobie pytań w takich wypadkach) od daremnych zresztą dociekań, co może być dla Franciszki imponującego w nazwisku „Bloch”. Bo ledwie jej powiedział, że ów młody człowiek, którego widziała, to jest pan Bloch, cofnęła się o kilka kroków, tak wielkie było jej zdumienie i zawód.

– Jak to! To jest pan Bloch! – wykrzyknęła z miną osłupiałą, jak gdyby osoba tak niezwykła musiała mieć coś dającego natychmiast poznać, że jesteśmy w obliczu kogoś z możliwych tego świata. I jak ktoś, kto znajduje, że jakaś figura historyczna nie jest na wysokości swojej reputacji, powtarzała

ze wzruszeniem, w którym czuło się na przyszłość zarodki generalnego sceptycyzmu – Jak to, to jest pan Bloch! Och, faktycznie, nie powiedziałoby się tego na oko!

Robiła wrażenie, że ma żal do mnie, jakbym ja jej kiedy „przechwalił” Blocha. A mimo to miała tę dobroć, aby dodać:

– Ano, chociaż to jest pan Bloch, panicz może sobie powiedzieć, że wygląda nie gorzej od niego.

Niebawem przeżyła w stosunku do Roberta de Saint-Loup, którego ubóstwiała, rozczarowanie innego rodzaju i mniej trwałe: dowiedziała się, że on jest republikanin. Otóż, mimo iż mówiąc na przykład o królowej portugalskiej, wyrażała się z tym brakiem uszanowania, jaki u ludu jest najwyższym uszanowaniem: „Amelia, siostra Filipa”, Franciszka była rojalistką. Ale zwłaszcza margrabia, margrabia, który ją olśnił, a który był za Republiką, nie wydawał się jej już autentyczny. Objawiała to samo niezadowolenie, co gdybym jej dał puzderko rzekomo złote, za które by mi podziękowała z zapalem, a potem jubiler powiedziałby jej, że to tombak. Natychmiast odjęła swój szacunek Robertowi, ale niebawem zwróciła mu go, zastanowiwszy się, że nie może, będąc margrabią de Saint-Loup, być republikaninem, że tylko udaje dla interesu, bo przy obecnie panującym rządzie to mu może grubo przynosić. Od tego dnia chłód jej wobec niego, uraza jej do mnie znikły. I kiedy mówiła o Robercie, powiadała: „Taki fałszywy” z takim szerokim i poczciwym uśmiechem, okazującym wymownie, że go „uważa” znów tyle co pierwszego dnia i że mu przebaczyła.

Otóż, wręcz przeciwnie, Robert był absolutnie szczery i bezinteresowny; i ta właśnie wielka czystość moralna, nie mogąc znaleźć całkowitego zaspokojenia w uczuciu samolubnym, jak miłość, z drugiej strony nie czując niemożliwości – tak jak ją czułem ja – znalezienia pokarmu duchowego gdzie indziej niż w sobie samym, czyniła go naprawdę zdolnym do przyjaźni w tym samym stopniu, w jakim ja byłem do niej niezdolny.

Nie mniej myliła się Franciszka co do Roberta, gdy powiadała, że on niby to nie gardzi prostymi ludźmi, ale to nieprawda: wystarczy go widzieć, kiedy się rozżłości na stangreta! Zdarzało się w istocie Robertowi połajac go dość żywo, co dowodziło u niego poczucia nie tyle różnicy, co równości między klasami.

– Ależ – odpowiedział na moje wyrzuty, że potraktował nieco szorstko owego stangreta – czemuż miałbym się silić z nim na grzeczność? Czyż on nie jest mi równy? Czy nie jest tym samym co wujowie lub kuzyni? Ty zdajesz się uważać, że ja powinienem go traktować ze specjalnymi względami jak niższego od siebie. Mówisz jak arystokrata – dodał ze wzgardą.

W istocie, jeżeli była klasa, wobec której Robert był uprzedzony i stronniczy, to była nią arystokracja, tak iż równie trudno mógł uwierzyć w wyższość człowieka światowego, jak łatwo wierzył w wyższość człowieka z ludu. Kiedy mu raz wspomniałem o księżnej de Luxembourg, którą spotkałem z jego ciotką:

– Geś! – powiedział – jak wszystkie jej podobne. To zresztą po trochu moja kuzynka.

Mając uprzedzenie do ludzi światowych, sam bywałem „w świecie” mało, a wzgardliwa lub wroga postawa, jaką tam przybierał, wzmagała jeszcze u wszystkich bliskich krewnych zgryzotę z powodu jego stosunku z „aktorzycą”, stosunku, który ich zdaniem stał się dla Roberta opłakany, rozwijając w nim ten zmysł krytyki, tego ducha opozycji, sprowadzając go z dobrej drogi, zanim go „zdeklasuje” zupełnie. Toteż złota młodzież z Faubourg Saint-Germain była bez litości, kiedy mówiono o kochance Roberta: „Dziwki robią swój fach – powiadali – warte są tyle co inne, ale nie ta! Nie darujemy jej tego! Za dużo złego wyrządziła komuś, kogo kochamy”. Z pewnością Saint-Loup nie był pierwszym, który się zaplątał w taką historię. Ale inni bawili się jak ludzie światowi, zachowali nadal poglądy ludzi światowych w polityce, we wszystkim. Natomiast co do Roberta, rodzina uważała, że on się „zepsuł”. Nie zdawali sobie sprawy, że dla wielu młodych salonowców, którzy bez tego zostaliby nieokrzesani, gruboskórni w uczuciach, pozbawieni dobroci i smaku, kochanka staje się często prawdziwym ich nauczycielem, a stosunek tego rodzaju jedyną szkołą moralną, gdzie nabywają wyższej kultury, gdzie poznają wartość bezinteresownego myślenia. Nawet w najniższych warstwach

(które pod względem gruboskórności tak często przypominają wielki świat) kobieta, wrażliwsza, subtelniejsza, mniej zapracowana, ma ciekawość pewnych wyrafinowań, ceni pewien wdzięk uczuć i sztuki, który, choćby go nie rozumiała, stawia wszelako ponad to, co się wydaje mężczyźnie najbardziej upragnione – pieniądze, stanowisko. Otóż czy chodzi o metresę młodego klubowca jak Saint-Loup, czy o kochankę młodego robotnika (elektrotechnicy na przykład stanowią dziś szeregi prawdziwego rycerstwa), amant ma dla niej zbyt wiele podziwu i szacunku, aby nie miał rozciągnąć tych uczuć na to, co ona sama poważa i podziwia i co dla niego przeobraża skalę wartości. Jest wątpa przez samą swoją pleć, ma niewytłumaczone zaburzenia nerwowe, które u mężczyzny, a nawet u innej kobiety, ciotki lub kuzynki, przyprawiłyby tego tęgiego chłopaka o uśmiech. Ale nie może patrzeć na cierpienia tej, którą kocha. Młody panicz, gdy jak Saint-Loup ma kochankę, uczy się, idąc z nią do restauracji, mieć w kieszeni walerianę, której ona może potrzebować; uczy się zalecać kelnerowi stanowczo i bez ironii, aby zamykał drzwi uważnie i bez hałasu, aby nie stroił stołu wilgotnym mchem, grożącym kochance owymi dolegliwościami, jakich osobiście nigdy nie odczuwał. Właśnie te słabości stwarzają dlań tajemniczy świat, w którego realność ona nauczyła go wierzyć; słabości, z którymi współczuje teraz, nie potrzebując nawet ich znać, z którymi będzie współczuł nawet u innej kobiety. Kochanka Roberta – jak pierwsi średniowieczni mnisi chrześcijaństwa – wszczepiła mu litość dla zwierząt, które namiętnie kochała, nie ruszając się nigdy bez swego psa, bez swoich kanarków i papużek; i Saint-Loup czuwał nad nimi z macierzyńską troskliwością i traktował jak bydłaków ludzi bez serca dla zwierząt. Z drugiej strony, aktorka lub rzekoma aktorka, jak ta, co żyła z Robertem – czy była inteligentna czy nie, czego nie wiedziałem, sprawiając, że się nudził w towarzystwie światowych dam i uważał za piłę proszone wieczory, uchroniła go od snobizmu i wyleczyła z salonowości. Jeżeli dzięki niej stosunki światowe mniej zajmowały miejsca w życiu jej młodego kochanka, w zamian za to uczyła go szukać w przyjaźni czegoś szlachetniejszego, wyrafinowanego, podczas gdy, gdyby był został zwykłym złotym młodzieńcem, stosunki jego regulowałyby próżność lub interes, a brutalność dawałaby im styl. Ze swoim kobiecym instynktem, szczególnie ceniąc w mężczyznach wrażliwość, którą sam z siebie kochanek jej byłby może zmroził i wyszydził, natychmiast umiała pośród przyjaciół Roberta poznać i wyróżnić człowieka mającego dlań szczere przywiązanie. Umiała Roberta zmusić, aby czuł dla tego człowieka wdzięczność, aby mu ją okazał, aby umiał zauważyć, co mu sprawia przyjemność lub przykrość. I niebawem Saint-Loup, już bez jej uwag, zaczął dbać o to wszystko, i w Balbec, gdzie jej nie było, dla mnie, którego ona nigdy nie widziała i o którym on jej może nie wspomniał nawet jeszcze w listach, sam z siebie podnosił szybę w powozie, usuwał kwiaty, które mi szkodziły, i kiedy, odchodząc, miał się żegnać z kilkoma naraz osobami, starał się pożegnać je nieco wcześniej, aby zostać na końcu sam ze mną, aby zrobić tę różnicę między nimi a mną, aby mnie traktować inaczej niż innych. Kochanka otwarła umysł Roberta na Niewidzialne, pogłębiła jego życie, wysubtelniła serce, ale wszystko to uchodziło wzroku zbolełej rodziny, która powtarzała: „Ta szelma go zabije, okrywa go hańbą”. To prawda, że w końcu Robert wziął z kochanki wszystko dobre, jakie mu mogła dać, i teraz była jedynie przyczyną, że cierpiał bez ustanku, bo nabrała doń wstrętu i dręczyła go. Zaczęła pewnego dnia uważać, że jest śmieszny i głupi, bo wmówili to w nią przyjaciele, których miała wśród młodych autorów i aktorów, a ona powtarzała z kolei to, co jej powiedzieli, z taką pasją, z taką bezwzględnością, jaką okazujemy za każdym razem, kiedy przejmujemy od drugich i przyswajamy sobie opinie lub zwyczaje zupełnie nam obce. Głosiła chętnie, jak tamci kabotyni, że między Robertem a nią jest przepaść nie do przebycia, bo są innej rasy: ona jest intelektualistka, a on, co bądź by w siebie wmawiał, jest z urodzenia wrogiem inteligencji. Ten pogląd zdawał się jej głęboki, szukała jego potwierdzenia w najbliższych słowach, w najłżejszym geście kochanka. Ale kiedy ci sami przyjaciele przekonali ją jeszcze, że ona niweczy w tak nieodpowiednim dla niej towarzystwie wielkie nadzieje, które – jak twierdzili – wróżyła; że ten kochanek zaciąży w końcu na niej; że żyjąc z nim zabija swoją przyszłość artystki, wówczas wzgarda dla Roberta zmieniła się w nienawiść, jak gdyby on się uparł zaszcześcić jej śmiertelną chorobę. Widywała go jak najmniej, mimo iż odwlekała jeszcze ostateczne zerwanie, które mi się zdawało mało prawdopodobne. Saint-

Loup robił dla niej tyle, że niełatwo znalazłaby człowieka, który by go w tym zastąpił, o ile nie była cudownie piękna. (Ale on nigdy nie chciał mi pokazać jej fotografii powiadając: „Po pierwsze, to nie jest piękność, a po wtóre, ona źle wychodzi na fotografii; to są tylko migawki, które ja sam robiłem swoim kodakiem, dałyby ci fałszywe pojęcie o niej”). Nie rozumiałem, że pewna mania zdobycia sobie nazwiska, nawet kiedy się nie ma talentu, że uznanie, samo tylko prywatne uznanie osób, które nam imponują (co może zresztą nie miało miejsca, jeżeli chodzi o kochankę Roberta), mogą się stać nawet dla zwykłej kokotki pobudką bardziej decydującą niż przyjemność zgarniania pieniędzy.

Saint-Loup, nie rozumiejąc dobrze, co się dzieje w duszy kochanki, nie sądził, aby ona była całkowicie szczerą zarówno w niesprawiedliwych wymówkach, co w zakłęciach wiecznej miłości; ale miał chwilami poczucie, że ona zerwałaby z nim, kiedy by mogła, i z tej przyczyny, wiedziony zapewne instynktem samozachowawczym swojej miłości, bardziej jasnowidzącym od niego samego, posługując się zresztą zręcznością praktyczną, która szła u niego w parze z najgwałtowniejszymi i najbardziej ślepyimi porywami serca, nie chciał jej dać w rękę kapitału. Zapożyczał się na wielkie sumy, iżby jej nie zbywało na niczym, ale udzielał ich jej tylko z dnia na dzień. I zapewne, w razie jeżeli ona naprawdę myślała o tym, aby go rzucić, czekała zimno, aż sobie coś „ucięła”, co przy sumach, jakie jej dawał Saint-Loup, wymagało niewątpliwie czasu bardzo krótkiego, ale w każdym razie czas ten stanowił naddatek zdolny przedłużyć szczęście mego nowego przyjaciela – lub jego nieszczęście.

Ten dramatyczny okres ich stosunku doszedł teraz do najostrzejszego punktu, najokrutniejszego dla Roberta. Zabroniła mu zostać w Paryżu, gdzie ją drażniła jego obecność; zmusiła go, aby spędził urlop w Balbec w pobliżu swego garnizonu. Zaczęło się to jednego dnia u ciotki Roberta, na której Saint-Loup wymógł zaproszenie dla swojej kochanki: miała wobec licznych gości recytować fragmenty symbolistycznej sztuki, którą grała raz na scenie awangardy i dla której udzieliła Robertowi własnego podziwu.

Ale kiedy się zjawiała z wielką lilią w ręce, w kostiumie skopiowanym z *Ancilla Domini* i mającym być – jak to wzmówiła Robertowi – prawdziwą „wizją sztuki”, owo zebranie klubowców i wielkich dam powitało jej wejście uśmiechami, które monotonne zawrodożenie, dziwność pewnych słów, ich częste powtarzanie się, zmieniły w szalony śmiech, najpierw dławiony, potem tak nieodparty, że biedna recytatorka nie mogła mówić dalej. Nazajutrz ciotka Roberta spotkała się z ogólnym potępieniem za to, że pozwoliła wystąpić u siebie pociesznej kabotynce. Pewien dobrze znany książę nie taił jej, że jeżeli ściągnęła na siebie krytykę, sama jest sobie winna.

– Cóż u diaska, nie można nas częstować numerami tego rodzaju! Gdybyż jeszcze miała talent; ale nie ma go i nie będzie miała nigdy. Do kata! Paryż nie jest tak głupi, jak się to utrzymuje. Towarzystwo nie składa się z samych idiotów. Ta panienska myślała najwidoczniej, że zadziwi Paryż. Ale Paryż jest nieco trudniejszy do zadziwienia i mimo wszystko są rzeczy, do których przelknięcia nikt nas nie zmusi.

Co się tyczy artystki, wyszła, powiadając do Roberta:

– Do jakich krów, do jakich dziwek bez wychowania, do jakich parobków ty mnie zaprowadziłeś? Zatem wiedz, nie było tam ani jednego mężczyzny, który by nie robił do mnie oka albo nie trącał mnie nogą, i dlatego żem odepchnęła ich chamskie zaloty, próbowali się zemścić.

Słowa te zmieniły antypatię Roberta do salonowców we wstręt znacznie głębszy i boleśniejszy, a wstręt ten budzili w nim osobliwie ci, co najmniej na to zasługiwali, oddani krewni, którzy, wydelegowani przez rodzinę, starali się namówić kochankę Roberta, aby się z nim rozstała, gdy ona wytłumaczyła mu ten krok ich miłością do niej. Robert zerwał z nimi natychmiast stosunki; ale kiedy, jak teraz, był daleko od swojej przyjaciółki, wyobrażał sobie, że ci lub inni korzystają z tego, aby przypuszczać ataki i że może zdołali coś wskórać. I kiedy mówił o donżuanach, którzy zdradzają swoich przyjaciół, deprawują kobiety lub starają się je ściągnąć do domu schadzek, twarz jego dyszała cierpieniem i nienawiścią.

– Zabiłbym każdego takiego z mniejszym wyrzutem sumienia niż psa. Pies jest przynajmniej zwierzę miłe, uczciwe i wierne. Ale tacy warci są gilotyny bardziej niż biedacy, których przywiodła do zbrodni nędza i okrucieństwo bogaczy.

Spędzał przeważnie czas na wysyłaniu listów i depesz do kochanki. Za każdym razem, kiedy ona, nie pozwalając mu przyjechać do Paryża, znalazła sposób pokłócenia się z nim na odległość, poznawałem to z jego zmienionej twarzy. Ponieważ nie mówiła nigdy, co mu ma do zarzucenia, podejrzewałem, iż skoro nie mówi, to może sama nie wie i po prostu ma go dość; mimo to pragnął się z nią rozmówić; pisał do niej: „Powiedz mi, co ja zrobiłem złego. Jestem gotów uznać swoje winy”; zgryzota, jakiej doznawał, utrwałała w nim przeświadczenie własnych błędów.

Ale ona dawała mu bez końca czekać na odpowiedzi, pozbawione zresztą sensu. Toteż prawie zawsze z chmurnym czołem, a często z próżnymi rękami, Robert wracał z poczty, gdzie sam z całego hotelu, wraz z Franciszką, chodził po list lub sam zanosił listy, on przez niecierpliwość kochanka, ona przez nieufność służącej. (Z depeszami musiał chodzić znacznie dalej).

Kiedy w kilka dni po obiedzie u Blochów, babka oznajmiła mi z rozradowaniem, że Saint-Loup spytał jej, czy nie chce, aby ją przed swoim wyjazdem z Balbec sfotografował, kiedy ujrzałem, że włożyła w tym celu najpiękniejszą suknię i wahała się między różnymi sposobami uczesania, czułem się nieco podrażniony dzieciństwem, które mnie tak w niej zdziwiło. Aż wreszcie pytałem sam siebie, czym się nie pomylił co do babki, czym jej nie stawiał zbyt wysoko, czy ona jest równie obojętna na wszystko dotyczące jej osoby, jak to zawsze przypuszczałem, czy nie ma w niej tego, com uważał za najbardziej jej obce, kokieterii?

Na nieszczęście, niezadowolenie, jakie we mnie budził projekt fotografii, a zwłaszcza widoczna radość babki z tego projektu, przejawiało się na tyle, aby Franciszka je odgadła; i mimo woli pogłębiła je sentymentalnymi i rozczulonymi gawędami, wobec których zachowałem się tym chłodniej.

– Och, proszę panicza, ta kochana pani będzie taka szczęśliwa, że się będzie **portratować** i że nawet włoży ten kapelusz, który stara Franciszka jej przystroiła, trzeba jej pozwolić, paniczu.

Przekonałem sam siebie, że nie jestem okrutny, drwiąc sobie z czułościowości Franciszki, przypominałem sobie bowiem, że matka i babka, moje wzory we wszystkim, też to nieraz czyniły. Ale babka, widząc moją kwaśną minę, oznajmiła, że o ile to pozowanie ma mi sprawić przykrość, wyrzeknie się go. Nie zgodziłem się; upewniłem ją, że nie widzę w tym nic złego i pozwoliłem jej stroić się, ale sądziłem, że dam dowód przenikliwości i inteligencji, celując w nią parę ironicznych i dotkliwych słówek, mających zneutralizować przyjemność, jaką widocznie znajdowała w tej fotografii. Tak iż, o ile mnie podrażnił widok wspaniałego kapelusza babki, udało mi się bodaj spędzić z jej twarzy ten radosny wyraz, który powinien był mnie uszczęśliwić i który – jak się to zdarza zbyt często, póki jeszcze żyją najukochańsze nam istoty – wydaje się nam raczej drażniącym objawem lichej wady niż szacowną formą szczęścia, jakiego tak pragnęlibyśmy dla nich. Mój zły humor płynął zwłaszcza stąd, że owego tygodnia babka jak gdyby unikała mnie, tak że nie mogłem jej mieć bodaj chwilę dla siebie ani w dzień, ani wieczorem. Kiedy wracałem po południu, aby być z nią trochę sam, powiadano mi, że jej nie ma; albo zamykała się z Franciszką na długie narady, których nie wolno mi było zamącić. I kiedy, spędziwszy wieczór poza domem z Robertem, wracając, myślałem o chwili, gdy będę mógł ujrzeć i uściskać babkę, darmo czekałem na te lekkie pukania w ścianę, wzywające mnie, abym jej przyszedł powiedzieć dobranoc; nie słyszałem nic. Kładłem się w końcu, mając do niej trochę żalu, że mnie pozbawia, z obojętnością tak nową z jej strony, radości, na którą tak liczyłem. Jeszcze przez jakiś czas czekałem z sercem bijącym jak w dzieciństwie, słuchając ściany, która zostawała niema, i zasypiałem we łzach.

Tego dnia, jak i w poprzednie dni, Saint-Loup musiał jechać do Doncières, gdzie, zanim miał wrócić na dobre, zatrzymywano go teraz zawsze do wieczora. Żałowałem, że go nie ma w Balbec. Widziałem młode kobiety wysiadające z powozów, jedne wchodziły do sali balowej kasyna, inne do cukierni; z daleka wydawały mi się czarujące. Byłem w owej fazie młodości, kiedy serce, niezajęte

specjalnie nikim, jak gdyby czeka; kiedy się wszędzie – niby kochanek pożądanej kobiety – pragnie Piękności, szuka się jej, widzi się ją. Niech jakiś rys realny – jakiś szczegół kobiety oglądanej z daleka lub obróconej plecami – pozwoli nam wywołać Piękność przed naszymi oczami, już sobie wyobrażamy, żeśmy ją odkryli, serce nam bije, przyspieszamy kroku i zostaniemy na zawsze w pół przekonani, że to była ona, byleby znikła: jedynie wówczas gdy ją możemy dogonić, pojmujemy swój błąd.

Zresztą czując się coraz bardziej cierpiący, skłonny byłem przeceniać najprostsze przyjemności przez trudność, z jaką mi przychodziło ich dosięgnąć. Zdawało mi się, że wszędzie widzę eleganckie kobiety, bo byłem zbyt zmęczony, o ile to było na plaży, zbyt nieśmiały, o ile to było w kasynie lub w cukierni, aby się do nich zbliżyć. Jednakże jeżeli miałem rychło umrzeć, byłbym rad wiedzieć, czym są z bliska, w rzeczywistości, najładniejsze dziewczęta, jakie życie może ofiarować, gdyby nawet ktoś inny niż ja lub nawet nikt nie miał skorzystać z tej ofiary (nie zdawałem sobie w istocie sprawy, że zawiązką mojej ciekawości była chęć posiadania). Byłbym się odważył wejść na salę balową, gdyby Saint-Loup był ze mną. Sam, stałem po prostu przed Grand Hotelem, czekając chwili, gdy pójde spotkać się z babką, kiedy ujrzałem zbliżających się kilka dziewcząt, jeszcze prawie na krańcu drogi, gdzie tworzyły osobliwą i ruchomą plamę; równie odmiennym wyglądem i wzięciem od wszystkich osób, jakie przywykłem oglądać w Balbec, jak mogłoby być przybyłe nie wiadomo skąd stado mew, gdy drepcąc po plaży – przy czym zapóźnione doganiają, podfruwając, poprzednie – odbywają swoją przechadzkę o celu równie zagadkowym dla letników, których ptaki zdają się nie widzieć, jak jasno określonym dla ich ptasiego umysłu.

Jedna z tych nieznanym prowadziła rower; dwie inne trzymały kluby do golfa, a strój ich odcinał się od stroju innych dziewcząt w Balbec, również może oddających się po trosze sportom, ale bez specjalnego w tym celu kostiumu.

Była to godzina, gdy panie i panowie odbywali codziennie spacer po didze<sup>3</sup>, wystawieni na nielitościwe ognie *face à main*, jakie kierowała na nich (tak jakby mieli jakąś skazę, którą pragnęła wystudiować w najmniejszych szczegółach) żona prezydenta, dumnie siedząca przed kioskiem dla muzyki, pośród tego groźnego rzędu krzeseł, gdzie za chwilę oni sami, z aktorów stając się krytykami, mieli się usadowić, aby sądzić z kolei wszystkich defilujących przed nimi. Szli po didze, kołysząc się tak silnie, jak gdyby się znajdowali na pokładzie statku; nie umieli podnieść nogi, aby równocześnie nie poruszyć ramieniem, nie obrócić oczu, nie poprawić ramion, nie skompensować każdego ruchu wahadłowym ruchem w przeciwną stronę i nie czerwień na twarzy. Udawali, że nikogo nie widzą, aby sprawić wrażenie, że się nie troszczą o osoby idące obok nich lub w przeciwnym kierunku; ale bacząc ukradkiem, aby ich nie potrącić, zderzali się właśnie z nimi, zahaczali się o nie, ponieważ byli nawzajem z ich strony przedmiotem tej samej tajemnej uwagi, ukrytej pod tą samą pozorną obojętnością; ile że miłość – tym samym lęk – tłum jest jedną z najpotężniejszych sprężyn u wszystkich ludzi, czy starają się podobać innym lub zadziwić ich, czy też pragną pokazać, że nimi gardzą. U samotnika zamknięcie, nawet absolutne i trwające do końca życia, ma za pobudkę nadmierną miłość tłumy, tak bardzo górującą nad innym uczuciem, że gdy nie może, wychodząc z domu, uzyskać podziwu odźwiernego, przechodniów, woźnicy, woli nie być nigdy przez nich ujrzanym i wyrzeka się wszelkiego działania, które by mu kazało opuszczać pokój.

Pośród wszystkich tych ludzi, z których ten i ów ściagał jakąś myśl, ale wówczas zdradzał jej wahania niepokojem gestów, spojrzeń, równie mało harmonijnych jak oględne chybotanie się sąsiadów, dziewczęta, które zauważyłem, szły prosto przed siebie, z opanowaniem gestów, jakie daje doskonale wyćwiczenie ciała i szczerą pogardą dla reszty ludzkości. Szły przed siebie bez wahań i bez zakłopotania, wykonując ściśle te ruchy, jakie chciały, przy pełnej niezawisłości każdego z członków, przy czym korpus zachowywał ową nieruchomość, tak znamienne dla osób dobrze tańczących walca. Były już blisko mnie. Mimo iż każda z nich miała typ absolutnie różny od innych,

---

<sup>3</sup> *diga* (z wł.) – zapora, tama, falochron; sztuczne nabrzeże. [przypis edytorski]

wszystkie były piękne; co prawda widziałem je od tak niedawna i nie śmiejąc się im przyglądać, że nie zindywidualizowałem jeszcze żadnej. Z wyjątkiem jednej, której prosty nosek i ciemna skóra odcinały się od innych – niby na jakimś renesansowym obrazie jeden z Trzech Królów rodem z Arabii – pochwyliłem w jednej z nich jedynie parę oczu twardych, upartych i roześmianych; w drugiej tylko policzki, których różowość miała miedziany ton przywodzący na myśl geranię; a nawet i tych rysów nie zlokalizowałem jeszcze niezawodnie w żadnej z dziewcząt; i kiedy (wedle porządku, w jakim się rozwijał ten zespół – cudowny, bo w nim sąsiadowały najrozmaitsze kształty, spotykały się wszystkie gamy kolorów, ale mętny jak muzyka, w której nie umiałbym wyosobnić i rozpoznać, w miarę ich zjawiania się, fraz pochwyconych, ale zapomnianych w chwilę potem) widziałem wynurzający się biały owal, oczy czarne, oczy zielone, nie wiedziałem, czy to są te same, które już na mnie wionęły czarem przed chwilą, nie mogłem ich odnieść do jakiejś określonej młodej dziewczyny, którą bym oddzielił od innych i rozpoznał. I ten brak granic w mojej wizji – granic, które niebawem miałem między nimi ustalić – kołysał grupę jakimś harmonijnym falowaniem, nieustanną transmisją płynnej, zbiorowej i ruchomej piękności.

Może nie sam przypadek skupił te przyjaciółki i dobrał je, wszystkie tak piękne; może te dziewczęta (których postawa wystarczała, aby zdradzić natury śmiałe, płuche i twarde), nader wrażliwe na wszelką śmieszność i brzydotę, odporne powabom kategorii intelektualnej lub moralnej, uczuły, pośród swoich rówieśnic, odrazę do wszystkich tych, których myśląca lub wrażliwa natura wyrażała się nieśmiałością, skrępowaniem, niezręcznością. Wszystko to określiły zapewne jako „antypatyczny fason” i odsunęły się od tego typu; zaprzyjaźniły się w zamian z innymi, do których ciągnęło je jakieś zespolenie wdzięku, zwinności i elegancji fizycznej, jedyna forma, pod jaką mogły sobie wyobrazić swobodę miłego charakteru i wróżbę pędzonych wspólnie przyjemnych godzin. Może i sfera, do której należały, a której nie umiałem określić, znajdowała się w tym punkcie ewolucji, w którym, bądź dzięki zamożności i wywczasom, bądź dzięki nowoczesnym nawykom sportu (szerzącym się nawet w pewnych kołach ludowych) oraz kultury fizycznej, niełączącej się jeszcze z kulturą umysłową, środowisko społeczne, podobne harmonijnym i płodnym szkołom rzeźby, nieszukającym jeszcze skomplikowanego wyrazu, wydaje obficie i naturalnie piękne ciała o pięknych nogach, o pięknych biodrach, o zdrowych i wypoczętych twarzach, ruchliwych i sprytnych. I czyż to nie były szlachetne i spokojne wzory ludzkiej piękności, które widziałem przed sobą w obliczu morza niby posągi wystawione na słońce kędyś na greckim wybrzeżu?

Widocznie ta gromadka, posuwająca się wzdłuż digi niby świetlna kometa, osądziła, iż otaczający ją tłum składa się z istot innej rasy, tak że nawet jego cierpienie nie byłoby w nich zdolne obudzić poczucia solidarności, bo nie widziały po prostu tego tłumy. Zmuszały przystające osoby do usunięcia się na bok, niby przy przejściu wypuszczonej maszyny, po której nie ma co oczekiwać, aby mijała pieszych. Co najwyżej, kiedy jakiś starszy pan, którego istnienie ignorowały i którego dotknięcie odpychały od siebie, uciekł z nagłymi lub śmiesznymi gestami przestrachu lub wściekłości, one spoglądały po sobie ze śmiechem. Nie popisywały się wzgardą dla wszystkiego, co nie było z ich grupy; wystarczała szczerokość tej wzgardy. Ale wszelka dojrzana przeszkoda rodziła w nich radosną chętkę przebycia jej, z rozpędem lub równymi nogami, bo wszystkie były spęczniałe i kipiące młodością. Ta młodość tak bardzo potrzebuje się wyżyć, nawet kiedy jest smutna lub cierpiąca, że ulegając raczej konieczności wieku niż doraźnemu humorowi, nie przepuszcza żadnej sposobności do skoku lub glisady<sup>4</sup>, wyzyskuje ją sumiennie, przerywając i strojąc swój wolny krok – niby Chopin najbardziej melancholijną frazę – uroczymi arabeskami, w których kaprys miesza się z mistrzostwem.

Żona starego bankiera, dobierając dla męża rozmaitych miejsc, usadowiła go na leżaku, na wprost digi, gdzie od wiatru i słońca chronił go kiosk dla muzyki. Zainstalowawszy tak męża, opuściła go na chwilę, aby pójść kupić dziennik, który miała mu czytać dla rozrywki. Chwil, w których zostawiała go samego, nie przeciągała nigdy ponad pięć minut, co jej się zdawało dość długo; czyniła

---

<sup>4</sup> *glisada* – tu: ślizg; w lotnictwie: figura akrobacji, zejście lotem ślizgowym nisko nad ziemię. [przypis edytorski]

to na tyle często, aby stary mąż, nad którym roztaczała opiekę, maskując ją zarazem, miał wrażenie, że jest jeszcze zdolny żyć jak wszyscy i że nie potrzebuje dozoru. Trybuna orkiestry tworzyła nad nim naturalną i kuszącą trampolinę, przez którą bez wahania najstarsza z małej bandy puściła się pędem; skoczyła ponad przerażonego starca, którego kaszkiet musnęły zwinne nogi, ku wielkiej zabawie reszty dziewcząt. Zwłaszcza para zielonych oczu w twarzyczce lalki wyraziła podziw dla tego aktu i wesołość, w których próbowałem rozróżnić nieco lęklivości, lęklivości wstydlivej zarazem i aroganckiej, nieistniejącej u innych. „Żal mi tego starego, wygląda, jakby już miał odwalić kite” – rzekła wpół ironicznie jedna z dziewcząt schrypłym, jakby przepitym głosem. Zrobiły jeszcze kilka kroków, potem zatrzymały się chwilę wśród drogi, nie troszcząc się o to, że utrudniają krążenie przechodniów, czyniąc naradę, tworząc skupienie o nieregularnym kształcie, zwarte, niezwykle i krzykliwe, niby ptaki zbierające się w chwili odlotu; po czym podjęły wolną przechadzkę wzdłuż digi nad morzem.

Obecnie ich urocze rysy nie były już zmieszane z sobą, niepodobne do rozróżnienia. Rozdzieliłem je i skupiłem (w braku imion, których nie znałem) dokoła największej, tej, co skoczyła przez starego bankiera; i małej, której pyzate i różowe policzki i zielone oczy odcinały się na horyzoncie morza; i trzeciej, o smągłej cerze, prostym nosku, wyróżniającej się wśród innych; dokoła jeszcze innej, o twarzy białej jak jajko, na której mały nosek garbił się niby dzióbek kurczęcia, twarzy takiej, jaką miewają niektórzy bardzo młodzi chłopcy; innej wreszcie, dużej, okrytej peleryną (co dawało wygląd tak ubogi i tak przeczący jej eleganckiemu wzięciu, iż nastęrczała się myśl, że ta młoda dziewczyna musi mieć rodziców na tyle świetnych i mieszczących swoje ambicje o tyle wyżej letników w Balbec oraz toaletowego wykwintu własnych dzieci, aby im było zupełnie obojętne puszczać je na digę w stroju, który „szarym ludziom” wydałby się zbyt skromny); dokoła wreszcie dziewczynki o błyszczących i roześmianych oczach, o pulchnych matowych policzkach pod czarnym „polo” na głowie. Ta, kiedym przechodził koło niej, popychała rower z tak niedbałym kołysaniem bioder, z miną i gwarą pełną tak apaszowskich i krzykliwych zwrotów (wśród których pochwyliłem nieszczęsne: „wyżyć się”), iż porzucając hipotezę zbudowaną na pelerynie jej towarzyszkii, uznałem raczej, że wszystkie te dziewczęta należą do stałej klienteli welodromów i że to muszą być bardzo młode kochanki zawodowych cyklistów.

W każdym razie w żadnym z moich przypuszczeń nie figurowało to, aby te dziewczęta mogły być cnotliwe. Od pierwszego spojrzenia – w sposobie, w jaki patrzyły na siebie, w natarczym wzroku owej dziewczyny o matowych policzkach – wyczytałem, iż jest przeciwnie. Zresztą babka czuwała zawsze nade mną z nazbyt trwożliwą delikatnością, abym mógł nie wierzyć, iż całość rzeczy, których nie powinno się robić, jest niepodzielna. Młode dziewczęta (sądziłem), które chybiają szacunku starości, tym bardziej muszą być niezdolne do skrupułów, gdy chodzi o słodczye bardziej kuszące niż skok przez głowę osiemdziesięciolatka!

Teraz były dla mnie zindywidualizowane; jednakże rozmowa, jaką wiodły oczami ożywionymi pewnością siebie i koleżeństwem, zdradzającymi co chwilę to współudział, to zuchwałą obojętność, zależnie od tego, czy chodziło o którąś z przyjaciółek czy o przechodniów, a także tę świadomość, że się wszystkie znają na tyle dobrze, aby się przechadzać wciąż razem, oddzielną „bandą”, stwarzała między ich niezależnymi i oddzielnymi ciałami, gdy się tak posuwały z wolna, łączność niewidzialną, ale harmonijną niby wspólny ciepły cień, wspólna atmosfera, czyniąca z nich całość równie jednolitą w jej częściach, jak różną od tłumu, pośród którego rozwijał się z wolna ich orszak.

Mijając brunetkę o pulchnych policzkach popychającą rower, skrzyżowałem na chwilę wzrok z jej skośnymi i roześmianymi spojrzeniami, strzelającymi z głębi nieludzkiego świata, który zamykał życie tego małego klanu, niedostępnego, nieznanego, gdzie myśl o moim istnieniu nie mogła z pewnością ani dotrzeć, ani znaleźć miejsca. Czy ta młoda dziewczyna w polo bardzo nisko schodzącym na czoło, pochłonięta szczebiotem koleżanek, spostrzegła mnie w chwili, gdy mnie spotkał czarny promień tryskający z jej oczu? Jeżeli mnie widziała, co mogłem dla niej przedstawiać? Z łona jakiego wszechświata zauważyła mnie? Byłoby mi równie trudno odpowiedzieć na to,

jak trudno jest, z pewnych szczegółów spostrzeżonych dzięki teleskopowi na sąsiedniej planecie wyciągnąć wniosek, że tam mieszkają ludzie, że nas widzą, i orzec, jakie myśli ten widok mógł w nich obudzić.

Gdybyśmy myśleli, że oczy danej dziewczyny są jedynie błyszczącym krążkiem miki, nie pragnęlibyśmy jej poznać ani zespolić się z jej życiem. Ale czujemy, że to, co błyszczy w tym krągłym zwierciadle nie jest wyłącznie materialnego pochodzenia; że to są nieznane nam, czarne cienie idei, jakie ta istota tworzy sobie o osobach i o znanych jej miejscach – trawnikach hipodromów, piaszczystych drogach, po których, poruszając pedały, poprzez pola i lasy, wodziłaby mnie ta mała peri, powabniejsza dla mnie niż owa z perskiego rajy – także cienie domu, do którego wróci, projektów, jakie tworzy lub jakie ktoś tworzy za nią; a zwłaszcza że to jest ona, z jej pragnieniami, sympatiami, niechęciami, z jej tajemną i nieustanną wolą. Wiedziałem, że nie posiadałbym tej młodej cyklistki, o ile nie posiadałbym i tego, co jest w jej oczach. I tym samym całe jej życie wzniecało moje pragnienie; pragnienie bolesne, bom czułem, że jest nieziszczalne; ale upajające, gdyż to, czym było dotąd moje życie, przestawszy nagle być moim całkowitym życiem, będąc już tylko małą częścią rozciągającej się przede mną przestrzeni, którą pragnąłem ogarnąć, a która była życiem tych dziewcząt, przyrzekało mi to przedłużenie, tę możliwość pomnożenia samego siebie, które jest szczęściem. I bez wątpienia to, że nie było między nami żadnego wspólnego nawyku – jak i żadnej wspólnej myśli – musiało mi utrudniać zbliżenie się z nimi i spodobanie się im. Ale może też dzięki tym różnicom, dzięki świadomości, że w skład natury i działań tych dziewcząt nie wchodzi żaden element, który bym znał i posiadał, po sytości następowało u mnie pragnienie – podobne temu, jakim płonie wyschnięta ziemia – pragnienie życia, które moja dusza, dlatego że go nie otrzymała dotąd ani kropelki, wchłonięłaby tym chciwiej, wielkimi haustami, z tym doskonalszym nasyceniem.

Tak długo patrzałem na cyklistkę o błyszczących oczach, że musiała to spostrzec i rzekła do największej z dziewcząt coś, czegom nie dosłyszał, ale co rozśmieszyło tamtą. Prawdę mówiąc, nie ta brunetka podobała mi się najwięcej, właśnie dlatego że była brunetką i że (od dnia, gdym na ścieżce w Tansonville ujrzał Gilbertę) ruda dziewczynka o złocistej skórze stała mi się niedostępnym ideałem. Ale samą Gilbertę czyż nie dlatego pokochałem, że mi się zjawiała strojna aureolą przyjaciółki Bergotte'a, zwiedzającej z nim katedry! I tak samo czyż nie mogło mnie ucieszyć, że ta brunetka popatrzyła na mnie (co budziło we mnie nadzieję, iż łatwiej mi będzie zapoznać się najpierw z nią), bo przedstawi mnie innym, tej bezlitosnej, co przeskoczyła starca, i okrutnej, co powiedziała: „Żal mi tego starego”, kolejno wszystkim, których nierozłączne towarzystwo mnożyło jej urok. A jednak przypuszczenie, że mógłbym być pewnego dnia przyjacielem jednej z tych dziewcząt, że te oczy, których nieznane spojrzenia uderzały mnie chwilami, igrając po mnie bezwiednie niby promień słońca na murze, mogłyby kiedy mocą cudownej alchemii przepuścić przez swoje niewysłowione cząsteczki ideę mego istnienia, jakąś sympatię dla mojej osoby, że ja sam mógłbym kiedyś zająć miejsce pośród nich, w orszaku, którym ciągnęły wzdłuż morza – ta myśl zdawała się mieścić w sobie sprzeczność równie nierozwiązalną, co gdybym przed jakimś starożytnym fryzem lub freskiem wyobrażającym pochodz uważał za możliwe, ja, widz, zająć miejsce między boskimi celebrantkami jako ich kochanek.

Szczęście poznania tych dziewcząt było tedy nieziszczalne. Zapewne nie byłoby to pierwsze tego rodzaju szczęście, jakiego bym się wyrzekł. Wystarczało mi przypomnieć sobie tylko tyle nieznajomych, które, nawet w Balbec, kazał mi opuścić na zawsze pędem oddalający się powóz. A nawet przyjemność, jaką mi dawała gromadka tak szlachetna jak gdyby się składała z helleńskich dziewic, pochodziła stąd, że miała coś z pierzchania owych mijanych na drodze postaci. Owa ulotność istot nieznajomych nam, wyrrywających nas z potocznego życia, w którym znajome kobiety odsłaniają nam w końcu swoje skazy, wprawia nas w ów stan pogoni, gdzie nic nie wstrzymuje już wyobraźni. Otóż odrzec nasze przyjemności z wyobraźni, znaczy sprowadzić je do nich samych, do niczego. Ofiarowane przez jedną z owych stręczycielek, którymi zresztą, jak czytelnik widział, nie gardziłem, wyrwane z elementu dającego im tyle odcieni i tyle tajemnicy, dziewczęta te byłyby mnie mniej

oczarowały. Trzeba, aby wyobraźnia, pobudzona niepewnością, stworzyła cel, który by nam zasłaniał tamten cel i który, zastępując zmysłową rozkosz ideą wniknięcia w czyjeś życie, nie dozwoliłby nam rozpoznać owej rozkoszy, doświadczyć jej prawdziwego smaku, uszczuplić jej do istotnych wymiarów.

Ryba, podana nam od razu na stół, nie zdałaby się nam warta tysiąca sztuczek i podstępów obróconych na to, aby ją pochwycić; trzeba, aby między nią a nas, w chwili gdy czatujemy z wędką bez określonego praktycznego celu, wdarł się prąd, w którym miga nam gładkość tkanek, nieuchwytność kształtów, w płynności przejrzystego i ruchomego lazuru.

Dziewczeta te korzystały również z owej zmiany proporcji socjalnych, znamienych dla kąpieliska. Wszystkie przewagi, które w zwykłym naszym środowisku przedłużają nas niejako, powiększają nas, tam stają się niewidoczne, znikają; w zamian za to istoty, którym niezasłużenie przypisuje się owe przewagi, zjawiają się powiększone do sztucznych wymiarów. Dzięki temu osoby nieznajome – w danym dniu owe młode dziewczyny – tym łatwiej przybierały w moich oczach olbrzymią ważność; ja zaś nie miałem żadnego sposobu dowiedzenia im swojej ważności.

Ale jeżeli spacer małej gromadki czerpał urok w tym, że był jedynie częścią niezliczonego przepływu mijających mnie kobiet, który mnie zawsze wzruszał, przepływ ten sprowadzał się tutaj do ruchu tak powolnego, że bliski był bezruchu. Otóż to, że w tempie tak powolnym, twarze nieunoszone już pędem, ale spokojne i wyraźne, zdawały mi się jeszcze piękne, właśnie to nie pozwalało mi sądzić (jak sądziłem często, gdy mnie unosił powóz pani de Villeparisis), że z bliska, gdybym się zatrzymał na chwilę, jakieś przykre szczegóły, wątpliwa cera, skaza w wycięciu nozdrzy, tępe spojrzenie, niemły uśmiech, brzydka figura, zastąpiłyby na twarzy i w ciele kobiety rysy, które sobie zapewne wyroiłem; wystarczyło bowiem dojrzanej przeze mnie ładnej linii lub świeżej cery, abym w najlepszej wierze przydał im jakieś urocze ramię, jakieś rozkoszne spojrzenie, którego zawsze nosił w sobie pamięć lub przeczucie; i takie błyskawiczne odczytywanie osób widzianych w przelocie naraża nas wówczas na te same błędy, co nazbyt pospieszna lektura, gdy z jednej sylaby, nie zadając sobie trudu utożsamienia innych, w miejsce słowa napisanego wstawiamy całkiem inne, podsunięte nam przez pamięć.

W tym wypadku było to niemożliwe. Przypatrzyłem się dobrze twarzom tych dziewcząt; każdą z nich widziałem nie ze wszystkich profilów, a rzadko *en face*, ale zawsze z dwóch lub trzech perspektyw na tyle odmiennych, abym mógł uzyskać bądź sprostowanie, bądź potwierdzenie i „dowód” rozmaitych domysłów linii i barw, zaryzykowanych na pierwszy rzut oka i abym widział coś niezmiennie materialnego, trwającego w nich poprzez kolejne wyrazy. Toteż mogłem sobie rzec z całą pewnością, że ani w Paryżu, ani w Balbec, w najkorzystniejszych hipotezach tego, czym mogłyby być (nawet gdybym się zdołał do nich zbliżyć) nieznajome, które zatrzymały moje oczy, ujrzenie a potem zniknięcie żadnej z nich nie zostawiłoby we mnie więcej żalu, niżby go zostawiły te dziewczęta, wraz z myślą, że ich przyjaźń mogłaby być takim upojeniem! Ani wśród aktorek, ani wśród wieśniaczek, ani wśród wychowanic klasztoru, nie widziałem nic tak pięknego, nasyconego Nieznanym, bezcennego, tak prawdopodobnie niedostępnego. Były one tak rozkosznym i pełnym egzemplarzem nieznanego i możebnego szczęścia, że nieomal z intelektualnych pobudek byłem w rozpacz, bojąc się, iż nie zdołam – w warunkach jedyńskich, nie zostawiających miejsca dla możliwego błędu – doświadczyć tego, co nam najbardziej tajemniczego ofiarowuje upragniona piękność. Nazbyt często trzeba nam się pocieszyć, że jej nie będziemy posiadali nigdy, żądając rozkoszy – czego Swann zawsze wzdragał się uczynić, przed Odetą – od kobiet, których nie pragnęliśmy, tak że umieramy, nie poznawszy, czym była owa inna rozkosz. Bez wątplenia, może owa rozkosz nie byłaby w rzeczywistości rozkoszą nieznaną; może z bliska tajemnica jej rozproszyłaby się, może byłaby jedynie projekcją, mirażem żądzy. Ale w takim razie mógłbym mieć pretensje jedynie do prawa natury – które, gdyby się stosowało do tych dziewcząt, stosowałoby się do wszystkich – nie zaś do skaz samego przedmiotu. Bo to był przedmiot, który byłbym wybrał między wszystkimi, zdając sobie dobrze sprawę, z satysfakcją botanika, że niepodobna by znaleźć zebranych razem gatunków rzadszych niż te młode kwiaty,

przerywające w tej chwili przede mną linię fal swoim lekkim żywopłotem, podobnym do gaiku pensylwańskich róż, strojących ogród na skale, między którymi mieści się cała przestrzeń oceanu przebywana przez jakiś parowiec, tak wolno ślizgający się po poziomej i błękitnej kresce idącej od jednej łodygi do drugiej, że leniwy motyl zapóźniony w głębi kielicha, który kadłub statku minął od dawna, może – aby wzlecieć z tą pewnością, że przybędzie wcześniej – czekać, by tylko jedna cząsteczka lazuru dzieliła jeszcze dziób statku od najbliższego kwiatu, ku któremu okręt płynie.

Wróciłem, bo miałem jechać do Rivebdlu na obiad z Robertem, babka zaś żądała, abym się w taki dzień zawsze wyciągnął wprzód przez godzinę na łóżku, którą to sjęstę miejscowy lekarz zalecił mi niebawem rozszerzyć i na inne wieczory.

Zresztą, aby wrócić do hotelu, nie było nawet trzeba skręcać z digi i wchodzić przez hall, to znaczy od tyłu. Czas przesunął się, podobny owym sobotom w Combray, kiedy śniadanie było o godzinę wcześniej. Teraz, w pełni lata, dni zrobiły się tak długie, że słońce było jeszcze wysoko na niebie, niby w porze podwieczorku, a już nakrywano w Grand Hotelu do obiadu. Toteż wielkie oszklone i zasuwane okna pozostawały otwarte na poziomie digi. Wystarczyło okroczyć wąską drewnianą ramę, aby się znaleźć w jadalni, którą zaraz opuszczałem, aby wsiąść do windy.

Przechodząc koło biura, przesyłałem uśmiech dyrektorowi i bez cienia niesmaku witałem również uśmiech na jego twarzy, którą od czasu pobytu w Balbec moje wtajemniczenie nastrzykiwało i przeobrażało stopniowo niby preparat historii naturalnej. Rysy jego stały mi się znane, naładowane sensem pospolitym, ale rozumiałem jak czytelne pismo, w niczym już niepodobne do dziwaczno i nużącego pisma z owego pierwszego dnia, kiedy ujrzałem przed sobą zapomnianą teraz osobistość. Zaledwie mogłem wywołać ją w swojej pamięci, tym mniej zidentyfikować ją z banalnym i uprzejmym osobnikiem, którego była jedynie wstrętną i pobieżną karykaturą. Bez lęków i smutku pierwszego wieczora zadzwoniłem na *liftboy'a*, który już nie stał milczący, gdy się z nim wznosił w windzie, niby w ruchomej klatce piersiowej przesuwał się wzdłuż kręgosłupa, ale powtarzał mi:

– Już nie ma tyle ludzi, co przed miesiącem. Zaczną wyjeżdżać, dzień robi się krótszy.

Mówił tak nie dlatego, by to była prawda, ale że zgodziwszy się już do cieplejszej miejscowości na wybrzeżu, pragnął, abyśmy wszyscy wyjechali jak najwcześniej, tak aby hotel zamknięto i aby on miał kilka dni wolnych, zanim rozpocznie nową służbę. Uderzyło mnie, że on zechciał powiedzieć „służba”; bo należał do tego nowoczesnego proletariatu, który pragnie zatrzeć w języku ślady służebności. Zresztą za chwilę powiadomił mnie, że na „posadzie” którą „obejmie”, będzie miał ładniejszy „uniform”, i lepsze „uposażenie”; słowo „liberia” i „zasługi” wydawały mu się przestarzałe i niewłaściwe. Że zaś przez niedorzeczną sprzeczność dawny słownik przetrwał mimo wszystko u „państwa” dłużej niż pojęcie nierówności, nigdy nie mogłem dobrze zrozumieć, co mi mówił „lift”. Jediną rzeczą, jaka mnie interesowała, było to, czy babka jest w domu. Otóż uprzedzając moje pytanie, powiedział:

– Ta pani właśnie wyszła od pana.

Zawsze się na to brałem, myślałem, że mówi o babce.

– Nie, ta pani, która jest zdaje mi się funkcjonariuszką u państwa.

Ponieważ w dawnym mieszczańskim języku, który powinien by być zniesiony, kucharka nie nazywa się funkcjonariuszką, myślałem chwilę: „Ależ on się myli, nie mamy fabryki, biura, ani funkcjonariuszy”... Naraz przypomniałem sobie, że słowo „funkcjonariusz” jest, jak prawo do wąsów u kelnerów, satysfakcją miłości własnej daną służbie i że ta „dama, która właśnie wyszła”, to była Franciszka (poszła prawdopodobnie z wizytą do kawiarki lub asystować przy szyciu pokojówce belgijskiej damy). Satysfakcja ta nie wystarczała jeszcze *lift-boyowi*, mówił bowiem często, rozczulając się nad swoją klasą, „u robotnika” albo „u prostego człowieka”, posługując się tą samą liczbą pojedynczą co Racine, kiedy powiada: „ubogi”... Ale zazwyczaj nie rozmawiałem z chłopcem od windy – ile że moja początkowa gorliwość i nieśmiałość dawno minęły. To on teraz nie dostawał odpowiedzi w czasie krótkiej drogi, której węzły przebywał poprzez wycinany jak zabawka hotel, ukazujący nam piętro po piętrze rozgałęzienia korytarzy, w których głębi światło aksamitniało,

bladło, zwężało drzwi lub stopnie wewnętrznych schodów, zmieniając je w ów złocisty bursztyn, nieuchwytny i tajemniczy niby zmierzch, w którym Rembrandt wycina ramę okna lub korbę u studni. I na każdym pięttrze złoty blask odbijający się na dywanie oznajmiał zachód słońca i okno klozetu.

Zastanawiałem się, czy dziewczęta, które dopiero co widziałem, mieszkają w Balbec i kto by to mógł być. Kiedy pragnienie skieruje się tak ku małej gromadce ludzkiej, którą wyróżni, wszystko, co się z nią może łączyć, staje się przedmiotem wzruszenia, potem marzeń. Słyszałem, jak jakaś dama mówiła na plaży: „To przyjaciółka małej Simonet”, tonem zadowolonej z siebie precyzji, jak ktoś, kto tłumaczy: „To nieodłączny towarzysz małego La Rochefoucauld”. I natychmiast na twarzy tak informowanej osoby czuło się chęć lepszego przyjrzenia się szczęśliwej istocie, będącej „przyjaciółką małej Simonet”. Musiał to być przywilej, niedany całemu światu. Bo arystokracja jest rzeczą względną. I bywają tanie, pokątne kąpieliska, gdzie syn handlarza mebli jest królem elegancji i panuje nad swoim dworem niby młody książę Walii.

Często starałem się później przypomnieć sobie, w jaki sposób zabrzmiało mi na plaży to nazwisko **Simonet**, jeszcze niepewne dla mnie wówczas co do formy, a także co do treści, co do jego przynależności do tej lub innej osoby; w sumie nacechowane ową mglistą nowością, tak wzruszającą nas później, kiedy to nazwisko, którego litery ryją się w nas z każdą sekundą głębiej dzięki naszej nieustającej uwadze, stało się (co miało się zdarzyć u mnie, w stosunku do młodej Simonet, aż w kilka lat później) pierwszym wyrazem, jaki odnajdujemy czy to w chwili przebudzenia się, czy ocknąwszy się z omdlenia, nawet przed świadomością godziny, miejsca, gdzie się znajdujemy, prawie przed słowem „ja”; jak gdyby istota, którą ono oznacza, była bardziej nami niż my sami i jakby po paru chwilach nieświadomości czas, gdy nie myśleliśmy o niej, był niby rozejm wygasający przed każdym innym. Od pierwszego dnia powiedziałem sobie – nie wiem czemu – że **Simonet** musi być nazwiskiem jednej z tych dziewcząt, i bez przerwy zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym się zapoznać z rodziną Simonet; i to przez ludzi, których by uważała za coś lepszego od siebie – co nie musiało być trudne, o ile to były tylko zwykłe podfruwajki. Chodziło mi przede wszystkim o to, by ona nie mogła powziąć o mnie lekceważącego pojęcia. Bo nie można dobrze poznać, nie można dokonać całkowitej absorpcji istoty, która nami gardzi, dopóki się nie pokona tej wzgardy. Otóż za każdym razem, kiedy w nas wnika obraz tak różnych kobiet, o ile go nie usunie zapomnienie lub natłok innych obrazów, nie mamy spokoju, póki nie zmienimy tych obcych istot w coś, co by było podobne do nas. Dusza nasza jest pod tym względem obdarzona tym samym rodzajem reakcji i energii co organizm fizyczny, który nie może znieść obecności obcego ciała, ale natychmiast stara się strawić i przyswoić sobie intruza. Młoda Simonet musiała być ową najładniejszą ze wszystkich, zarazem tą, która, zdawało mi się, mogłaby zostać moją kochanką, bo ona jedna parokrotnie obróciła nieco głowę, jak gdyby zauważyła moje uparte spojrzenie. Spytałem chłopca od windy, czy nie zna w Balbec jakich Simonet. Nie lubiąc przyznawać się, że czegoś nie wie, odpowiedział, iż zdaje mu się, że słyszał to nazwisko. Przybywszy na najwyższe piętro, poprosiłem go, aby mi przysłał ostatnią listę gości.

Wysiadłem z windy, ale zamiast iść do swego pokoju, zapuściłem się w korytarz, o tej godzinie bowiem, posługacz, mimo że się obawiał przeciągów, otworzył w końcu korytarza okno, wychodzące nie na morze, lecz na wzgórze i doliny; ale nie widziało się ich nigdy, matowe bowiem szyby były najczęściej zamknięte. Przystanąłem przed oknem na chwilę, tyle, aby odprawić dewocje przed „widokiem” pierwszy raz odsłaniającym mi się za pagórkami obok hotelu. Widok obejmował tylko dom położony w pewnej odległości; perspektywa i wieczorne światło, zachowując jego wymiary, ale przydając mu cenną cyzelaturę i jakby aksamitne pudro, czyniły zeń jakąś miniaturową budowlę, małą świątynię lub kapliczkę ze złota i emalii, służącą za relikwiarz i pokazywaną jedynie w rzadkie dni pobożnym oczom. Ale ta chwila adoracji już trwała zbyt długo, bo posługacz, który trzymał w jednej ręce pęk kluczy, a drugą kłaniał mi się, dotykając swojej czapeczki zakrystiana (nie uchylał jej z powodu czystego i chłodnego wieczornego powietrza), zamknął okno niby skrzydła ołtarza i skrył mojej adoracji miniaturową budowlę i złotą relikwię.

Wszedłem do pokoju. W miarę jak sezon się posuwał, obraz, jaki znajdowałem w oknie zmieniał się. Zrazu był tam jasny dzień, ciemny jedynie w czasie niepogody; wówczas w ciemnozielonym szkłe, wzdymanym krągłymi falami, morze, oprawne w żelazne ramy mojego okna niby w ołów witraża, strzępiło na całej głębokiej, skalistej obwódce zatoki upierzone trójkąty nieruchomej piany, cieniowanej z delikatnością pierza lub puchu rysowanych przez Pisanella, i utrwalone ową białą emalią, niezmienną i pienistą, jaka wyobraża warstwę śniegu na szklach Gallégo.

Niebawem dnie stały się krótsze; w chwili gdym wchodził do pokoju, fioletowe niebo zdawało się napiętnowane sztywnym, geometrycznym, przejściowym, płomiennym kształtem słońca (podobnym do cudownego znaku, do jakiejś mistycznej zjawy), nachylało się ku morzu na zawiasach widnokręgu niby święty obraz nad wielkim ołtarzem, gdy rozmaite części zachodu, wystawione w szybach niskich mahoniowych szaf bibliotecznych biegnących wzdłuż ściany i wiążących się w mojej myśli z cudownym obrazem, od którego się oderwały, wyglądały niby rozmaite sceny, które jakiś stary mistrz wykonał niegdyś dla bractwa na relikwiarzu i których pojedyncze skrzydła wystawia się obok siebie w sali muzealnej, tak iż jedynie wyobraźnia zwiedzającego przywraca je na ich miejsca na nastawie ołtarza.

W kilka tygodni później, kiedym wracał do siebie, słońce już zaszło. Czerwona przepaska nieba podobna tej, jaką widywałem w Combray nad Kalwarią, wracając ze spaceru, kiedym się gotował zająć przed obiadem do kuchni – widniała nad morzem zwartym i ściętym niby auszpik z mięsa. A potem znów, nad morzem już zimnym i błękitnym jak ryba zwana **mulet**, niebo miało ten sam różowy kolor co łośoś, którego za chwilę każemy sobie podać w Rivebelle. Widoki te zaostrzały przyjemność, jaką mi sprawiało przebrać się po to, aby jechać na obiad. Nad morzem, tuż koło brzegu, dymy czarne jak sadza, ale o gładkości i konsystencji agatu, o ciężarze widzialnym oku, próbowały się wznosić, jedne nad drugie, coraz to szerszymi piętami; tak iż najwyższe, zwisając ponad zniekształconą łodygą i wychylając się poza środek ciężkości tych, co je podtrzymywały dotąd, groziły ściągnięciem tego gmachu wznoszącego się już do połowy nieba i strąceniem go w morze. Widok okrętu, który się oddalał niby nocny podróżny, dawał mi to samo wrażenie, jakiegom doznał w wagonie: że jestem uwolniony od przymusu snu i od zamknięcia w pokoju. Zresztą nie czułem się w tym pokoju uwięziony, skoro go za godzinę miałem opuścić, aby wsiąść do powozu. Rzuciłem się na łóżko; i jak gdybym się znajdował na ławce jednego z owych statków, które widziałem dość blisko siebie i które dziwiłyby nas w nocy, przesuając się wolno w ciemności, niby pociemniałe i milczące, lecz nie śpiące łabędzie, byłem ze wszystkich stron otoczony obrazami morza.

Ale często były to w istocie tylko obrazy; zapominałem, że pod ich barwą czaiła się smutna pustka plaży, nawiedzana niespokojnym wieczornym wiatrem, który tak dotkliwie odczuwałem za przyjazdem do Balbec; zresztą nawet w swoim pokoju, pochłonięty owymi spotkanymi dziewczętami, nie byłem już w stanie dość spokojnym ani dość bezinteresownym, aby się we mnie mogły zrodzić naprawdę głębokie wrażenia piękności. Nadzieja obiadu w Rivebelle wprawiała mnie w nastrój jeszcze płochszy, a myśl moja, przenosząc się w takich chwilach na powierzchnię mego ciała, które miałem przystroić, aby się wydać możliwie najpowabniejszy oczom kobiet, mających mnie lustrować w jarzącej się sali restauracyjnej, niezdolna była szukać głębi poza barwą przedmiotów. I gdyby za oknem niestrudzony i cichy lot jerzyków i jaskółek nie wzbijał się niby wodotrysk, niby fajerwerk życia, łączący przestrzenie między tymi racami nieruchomą i białą przedzą długich poziomych smug, bez uroczego cudu tego naturalnego i lokalnego zjawiska, wiążącego z rzeczywistością krajobrazy roztaczające się przed moimi oczami, mógłbym myśleć, że są one tylko codziennie odnawianym wyborem obrazów, jakie ktoś wystawia dowolnie w miejscu, gdzie się znajdował, ale bez koniecznego z tym miejscem związku.

Raz była to wystawa sztychów japońskich: obok delikatnego konturu słońca czerwonego i okrągłego jak księżyc, żółta chmura zdawała się jeziorem, na którym odcinały się czarne miecze niby nadbrzeżne drzewa; smuga delikatnego różowego koloru, jakiego nigdy nie odnalazłem od czasu mego pierwszego pudełka z farbami, wzdymała się jak rzeka, po której dwóch brzegach statki zdawały się

czekać, aby je ściągnięto i puszczono na fale. I z pogardliwym, znudzonym i czczym spojrzeniem amatora lub kobiety przebiegającej między dwiema wizytami galerię obrazów, powiadałem sobie: „Ciekawy ten zachód słońca, to coś odmiennego, ale ostatecznie widywałem już równie delikatne, równie zdumiewające”.

Więcej przyjemności miałem w wieczory, w które jakiś statek, pochłonięty i roztopiony w horyzoncie identycznego koloru, wyglądał niby obraz impresjonistyczny i zdawał się również z tej samej materii, jak gdyby jego dziób i liny, w które się ścienił i wyrzeźbił, wycięto po prostu w mglistym błękitcie nieba. Czasami ocean wypełniał prawie całe moje okno, podniesiony pasmem nieba określonym u góry jedynie linią tak samo niebieską jak linia morza, ale które z tego powodu brałem jeszcze za morze, odmienny kolor przypisując grze światła. Innego dnia morze było namalowane jedynie w dolnej części okna, którego resztę zapełniało tyle chmur stłoczonych na sobie poziomymi smugami, że szyby zdawały się, wskutek intencji lub specjalności artysty, przedstawiać „studium chmur”, podczas gdy poszczególne witryny biblioteczne odbijały chmury podobne, ale w innych partiach horyzontu i rozmaicie zabarwione światłem: dawały one jak gdyby owo tak ulubione niektórym współczesnym mistrzom powtórzenie jednego i tego samego efektu, pochwyconego o różnych godzinach, ale teraz stężałe w sztuce, dostępne oku równocześnie w jednym pokoju, wykonane pastelami i wstawione za szkło. A czasami w jednostajną szarość nieba i morza mieszało się z uroczym wyrafinowaniem nieco różowego koloru, podczas gdy mały motylek, usnąwszy na ramie okna, zdawał się kłaść swymi skrzydłami pod tą „szaro-różową harmonią” w guście Whistlera ulubiony podpis mistrza z Chelsea. Nawet różowość znikwała, nie było już na co patrzeć. Wstawałem na chwilę i nim się położyłem znowu, zasuwalem portiery. Ponad nimi widziałem z łóżka smugę jasności, która trwała jeszcze jakiś czas, ściemniając się, zwążając stopniowo; i bez smutku i żalu pozwalałem tak umierać nad portierami godzinie, gdy zazwyczaj byłem przy stole, bo wiedziałem, że ten dzień jest różny od innych, dłuższy, niby dni pod biegunem, które noc przerywa tylko na kilka minut; wiedziałem, że z poczwarki tego zmierzchu wyjdzie niebawem – w promiennej metamorfozie – olśniewający blask restauracji w Rivebelle.

Powiadałem sobie: „Już czas”; przeciągałem się na łóżku, wstawałem, kończyłem toaletę, znajdowałem urok w tych bezużytecznych chwilach uwolnionych od wszelkiego materialnego ciężaru. Podczas gdy na dole inni jedli obiad, ja obracałem siły, nagromadzone w beczynności tego schyłku dnia, jedynie na to, aby osuszyć swoje ciało, włożyć smoking, zawiązać krawat, wykonać wszystkie te gesty natchnione spodziewaną już przyjemnością oglądania jakiejś kobiety zauważonej ostatnim razem w Rivebelle, która (zdawało mi się) patrzyła na mnie i odeszła może na chwilę od stołu jedynie w nadziei, że ja pójdę za nią. Z radością stroiłem się we wszystkie te uroki, aby się oddać całkowicie i w weselu ducha nowemu, swobodnemu, beztroskiemu życiu, w którym miałem oprzeć swoje wahania o spokój Roberta i wybierać spośród gatunków historii naturalnej i produktów wszystkich krajów te, które, składając się na nieznanne dania natychmiast zamówione przez mego przyjaciela, skusiłyby moje łakomstwo lub wyobraźnię.

A na końcu przyszły dnie, gdy nie mogłem już wracać z promenady przez jadalnię; okna były już zamknięte, bo na dworze była noc, i chmara ciekawych i biedaków, ściągniętych niedosiężnym dla nich światłem, wisiała w czarnych, smaganych wiatrem gronach u świecących i gładkich ścian szklanego ula.

Ktoś zapukał: to Aimé chciał mi osobiście wręczyć ostatnią listę gości.

Przed odejściem Aimé czuł potrzebę oznajmienia mi, że Dreyfus jest po stokroć winny. „Wyjdzie na jaw wszystko – mówił – nie tego roku, ale na przyszły rok; mówił mi to jeden pan będący bardzo blisko generalnego sztabu. Pytałem go, czy się nie zdecydują odkryć wszystkiego zaraz, przed końcem roku. Odłożył papierosa – ciągnął Aimé, odgrywając scenę i potrząsając głową i wskazującym palcem, tak jak robił jego klient, aby tym wyrazić, że nie trzeba żądać za wiele. – «Nie w tym roku, Aimé (niby powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu), to niemożliwe. Ale na Wielkanoc, tak!»”. I Aimé trącił mnie lekko w ramię, powiadając: „Widzi pan, pokazuję panu dokładnie, jak

on to zrobił”, czy że mu pochlebiła poufałość znacznej figury, czy abym lepiej mógł ocenić, z całą świadomością rzeczy, wartość tego argumentu i przyczyn naszych nadziei.

Nie bez lekkiego wstrząsu w sercu na pierwszej liście gości ujrzałem słowa: „Simonet z rodziną”. Miałem w sobie stare marzenia, datujące z czasu mego dzieciństwa, w których całą czułość będącą w moim sercu, doznawaną przez nie, ale z niego nie wyodrębnioną, przynosiła mi istota możliwie najbardziej ode mnie różna. Jeszcze raz sfabrykowałem tę istotę, posługując się w tym celu nazwiskiem **Simonet** i wspomnieniem harmonii panującej między młodymi ciałami, które widziałem rozwijające się na plaży, w sportowej procesji, godnej antyku i Giotta. Nie wiedziałem, która z tych dziewcząt jest panną Simonet, czy w ogóle która z nich się tak nazywa; ale wiedziałem, że panna Simonet mnie kocha i że spróbuje, dzięki Robertowi, zapoznać się z nią. Na nieszczęście, Saint-Loup zmuszony był wracać co dzień do Doncières, uzyskawszy przedłużenie urlopu tylko pod tym warunkiem; ale wierzyłem, że jeżeli nie przyjaźń dla mnie, to sama ciekawość wystarczy, aby go odciągnąć od wojskowych obowiązków. Liczyłem na ten zmysł badacza ludzkiej natury, który tak często – nawet bez widzenia osoby, o której była mowa, z samego słyszenia, że jest np. ładna kasjerka w owocarni, rodził we mnie chęć poznania nowej odmiany piękności kobiecej. Ale myliłem się, kiedy się spodziewałem obudzić tę ciekawość w Robercie, mówiąc mu o swoich dziewczętach. Sparaliżowała ją w nim na długo miłość do owej aktorki, z którą miał stosunek. I gdyby nawet odczuł nieco tej ciekawości, byłby ją zdławił przez jakąś zabobonną wiarę, że od jego własnej wierności może zależeć wierność jego kochanki. Pojechaliśmy tedy na obiad do Rivebelle bez przyrzeczenia czynnej pomocy ze strony Roberta.

W pierwszym okresie, kiedyśmy przybywali, słońce dopiero co zaszło, ale było jeszcze jasno; w ogrodzie restauracji, gdzie nie zapalono jeszcze światła, gorąco dnia opadało, kładło się niby na dnie naczyń, na którego ścianach przezroczyista i ciemna galareta upalnego powietrza zdawała się tak stężyć, że wielki krzak róży, rosnący na ciemnym murze i fladrujący go różowo, robił wrażenie słoików widzianych w onyksie. Niebawem wysiadaliśmy z powozu aż w nocy, często nawet już nocą wyjeżdżaliśmy z Balbec, o ile było brzydko, a my opóźniliśmy wyjazd w nadziei lepszej pogody. Ale w owe dni służyłem bez smutku świstu wiatru; wiedziałem, że nie oznacza on poniechania projektów, zamknięcia w pokoju; wiedziałem, że w wielkiej sali jadalnej, dokąd wejdziemy przy dźwięku cygańskiej muzyki, niezliczone lampy zwyciężą bez trudu ciemność i zimno, przypalając je swymi złotymi żegadłami; wesóło sadowiłem się obok Roberta w powozie czekającym na deszczu. Od jakiegoś czasu słowa Bergotte'a wróżące mi, że jakie bądź miałbym pojęcie o sobie, stworzony jestem zwłaszcza do rozkoszy intelektualnych, wróciły mi, co do moich późniejszych prac, nadzieję, którą co dnia unicestwiała nuda, jakiej doznawałem, siadając przy biurku, aby rozpocząć studium krytyczne lub powieść. „Ostatecznie (powiadałem sobie), może przyjemność, jakiej się zaznało przy pisaniu, nie jest niezawodną próbą wartości utworu; może ona jest tylko dodatkowym stanem, który łączy się często z pisaniem, ale którego brak nie może świadczyć przeciwko dziełu. Może istnieją arcydzieła, przy których autor ziewał”. Babka koła moje zwątpienia, zaręczając, że pracowałbym dobrze i z radością, gdybym był zdrow. I ponieważ nasz lekarz uznał za właściwe ostrzec mnie przed poważnym ryzykiem związanym z moim stanem zdrowia i wskazał wszystkie higieniczne ostrożności, jakich trzeba przestrzegać, aby unikać choroby – poddawałem wszystkie przyjemności celowi, który mi się wydawał nieskończenie ważniejszy: stać się na tyle silnym, aby móc zrealizować dzieło, jakie może nosić w sobie. Toteż od czasu pobytu w Balbec wykonywałem nad sobą samym drobiazgową i stałą kontrolę. Nikt by mnie nie skłonił do filiżanki kawy, która, pozbawiając mnie w nocy snu, uczyniłaby mnie zmęczonym nazajutrz. Ale kiedyśmy przybywali do Rivebelle, podniecony nową przyjemnością, znalazłszy się w tej odmiennej strefie, w którą wprowadza nas **wyjatkowość**, przeciąwszy przedzoną cierpliwie od tyłu dni nitkę wiodącą nas ku rozsądkowi, natychmiast, jak gdybym już nie miał ani jutra, ani wzniosłych celów przed sobą, gubiłem ów ścisły mechanizm roztropnej higieny, funkcjonujący dla ochrony tych celów. Podczas gdy lokaj odbierał ode mnie palto, Saint-Loup mówił:

– Nie będzie ci zimno? Lepiej byś może zrobił, zostając w palcie; nie jest zbyt gorąco.

Odpowiadałem: „Nie, nie”; może nie czułem zimna, ale w każdym razie nie znałem już obawy przed chorobą, konieczności **nie umierania**, ważności pracy. Oddawałem palto; wchodziliśmy do sali restauracyjnej przy dźwiękach jakiegoś marsza wojennego granego przez Cyganów, posuwaliśmy się między rzędami nakrytych stolików niby łatwą drogą chwały, czując radosny żar, wlany w nasze ciało rytmem orkiestry, która nam oddawała honory wojskowe niezasłużonego tryumfu. Pokrywaliśmy ten żar poważną i lodowatą miną, krokiem pełnym znużenia, aby nie naśladować owych lafirynd z *café-concert*, które, odśpiewawszy na wojowniczą nutę pikantny kuplecik, wbiegają pędem na scenę z marsowym gestem zwycięskiego generała.

Poczawszy od tej chwili byłem nowym człowiekiem; nie byłem już wnukiem swojej babki, o której miałem sobie przypomnieć aż wychodząc, ale chwilowym bratem garsonów mających nas obsługiwać.

Dawkę piwa, tym bardziej szampana, na którą w Balbec nie pozwoliłbym sobie ani w ciągu tygodnia (wówczas gdy smak tych napojów ukazywał memu jasnowidzącemu i spokojnemu sumieniu przyjemność dającą się ściśle ocenić, ale łatwą do poświęcenia), pochłaniałem w ciągu godziny, dodając do tego parę kropel porto, zbyt roztargniony, aby czuć jego smak; skrzypkowi, gdy odegrał kawałek, oddawałem dwa „ludwiki”, ciułane od miesiąca w intencji jakiegoś sprawunku, którego już sobie nie przypominał. Garsoni pomykali pędem między stolikami, niosąc na wyprężonych dłoniach półmiski, których nieupuszczenie zdawało się celem tego wyścigu. I w istocie czekoladowe suflety dochodziły swego przeznaczenia nieprzewrócone, kartofelki *à l'anglaise*, mimo galopu, który powinien był nimi wstrząsnąć, były ułożone jak przy wyjściu z kuchni dokoła jagnięcia *Paulhac*. Zauważyłem jednego z tych służebników: bardzo wysoki, upierzony wspaniałymi czarnymi włosami, uszminowany cerą bardziej przypominającą niektóre gatunki rzadkich ptaków niż gatunek człowieka, chłopak ten, biegając bez przerwy i można by rzec bez celu z jednego końca sali na drugi, przywodził na myśl owe papugi ara, napełniające w ogrodach zoologicznych wielkie klatki swoim gorącym kolorytem i niepojętą ruchliwością. Niebawem widowisko zorganizowało się, przynajmniej w moich oczach, szlachetniej i spokojniej. Cały ten zawrotny ruch ustalał się w spokojnej harmonii. Okrągłe stoliki, których niezliczona mnogość napełniała restaurację, zdawały mi się niby planety, takie jak je przedstawiają dawne alegoryczne obrazy. Zresztą nieodparta siła przyciągania działała między tymi gwiazdami; przy każdym stole goście wypatrywali oczy na obce stoły, wyjąwszy jakiegoś bogatego amfitriona, który, zdoławszy ściągnąć sławnego pisarza, siłił się dobywać z niego, niby mocą wirującego stolika, błahe odezwania się, pograżające damy w zachwycie. Harmonia tych astralnych stołów nie przeszkadzała nieustannemu krążeniu niezliczonych służebników, poruszających się w wyższej sferze, ile że zamiast – jak goście – siedzieć, wciąż byli na nogach. Z pewnością jeden biegł po zakąski, nalewał wino, przynosił szklanki. Ale mimo tych poszczególnych racji, ich ustawiczny ruch między okrągłymi stolikami wyłaniał w końcu prawo swego zawrotnego i regularnego krążenia. Siedząc za żardinierą kwiatów, dwie potworne kasjerki, pochłonięte bez końca rachunkami, były niby dwie wróżki, siłące się za pomocą astrologicznych obliczeń przewidzieć zaburzenia, jakie mogły się czasem zdarzyć na tym niebieskim sklepieniu, poczętym w duchu średniowiecznej wiedzy.

I żałowałem po trosze wszystkich gości, bo czułem, że dla nich okrągłe stoliki nie są planetami i że nie dokonali operacji duchowej, która nas wyzwala z powszedniego wyglądu rzeczy i daje nam spostrzegać analogie. Myśleli o tym, że jedzą obiad z tym czy z owym, że będzie to kosztowało mniej więcej tyle a tyle i że wrócą tu nazajutrz. I zdawali się absolutnie nieczuli na rozwijający się orszak młodych garsonów, którzy, nie mając zapewne w tej chwili pilnego zajęcia, obnosili procesjonalnie chleb w koszykach. Niektórzy z nich zbyt młodzi, ogłupiali od szturchańców, jakie im rozdawali po drodze starsi kelnerzy, wlepiali melancholijnie oczy w odległe marzenie, rażniejsi jedynie wtedy, gdy jakiś klient z hotelu w Balbec, gdzie niegdyś pracowali, poznał ich, zagadał i polecił im osobiście, aby sprzątnęli szampan „niemożliwy do picia”, co ich napełniało dumą.

Słyszałem pomruk swoich nerwów, w których była jakaś błogość niezależna od zewnętrznych zjawisk zdolnych mi jej udzielić; najłżejsze przemieszczenie mojego ciała, mojej uwagi, wystarczało, aby mnie przejąć tą błogością, jak lekki ucisk daje zamkniętym oczom wrażenie barwy. Piłem już dużo porto i jeżeli jeszcze go żądałem, to nie tyle w nadziei błogości, oczekiwanej od nowych kieliszków, ile wskutek tej, jaką mi dały poprzednie. Pozwalałem muzyce prowadzić do woli moją przyjemność ku każdej nucie, gdzie wówczas skłaniała się posłusznie. O ile – podobna w tym do owych fabryk chemicznych, dzięki którym produkuje się masowo ciała spotykane w naturze przygodnie i rzadko – restauracja w Rivebelle gromadziła naraz więcej kobiet kuszących mnie tajemną nadzieją szczęścia, niżbym ich mógł spotkać na spacerach w ciągu roku, z drugiej strony, ta muzyka – transkrypcje walców, niemieckich operetek, piosenek z *café-concert*, wszystko dla mnie nowe – była sama niby powietrzny przybytek rozkoszy, wznoszącej się nad tamtą i bardziej upajającej. Bo każdy motyw, odrębny jak kobieta, nie chował, tak jak by kobieta uczyniła, tajemnicy skrywanej rozkoszy dla kogoś uprzywilejowanego; proponował mi tę rozkosz, wabił mnie, podchodził do mnie kapryśnym lub szelmowskim krokiem, zaczepiał mnie, pieścił, jak gdybym się stał nagle ponętniejszy, potężniejszy lub bogatszy; znajdowałem w tych melodiach coś okrutnego, bo też wszelkie bezinteresowne poczucie piękna, wszelki odblask inteligencji były im obce; dla nich istnieje tylko rozkosz fizyczna. I stają się najbardziej bezlitosnym, najbeznadziejniejszym piekłem dla nieszczęsnego zazdrośnika, ukazując mu tę rozkosz – rozkosz, jakiej ukochana kobieta kosztuje z innym – jako jedyną rzecz istniejącą w świecie dla tej, co jest dla nas całym światem.

Ale podczas gdy powtarzałem półgłosem tę melodię i oddawałem jej pocałunek, owa swoista czerpana z niej rozkosz stała mi się tak droga, że byłbym opuścił rodziców, aby iść za tym motywem w dziwny świat, jaki on budował w Niewidzialnym, w liniach na przemian omdlewających i żwawych. Taka przyjemność nie przydaje wartości człowiekowi, w którego wstąpi, jest bowiem uchwytana jedynie dla niego samego. Jeżeli się na przykład nie podobamy jakiejś kobiecie, która nas spostrzegła, kobieta ta nie wie, czy my w tej chwili odczuwamy ową wewnętrzną i subiektywną błogość, niezdolną tym samym nic zmienić w sądzie jej o nas; mimo to czułem się wspanialszy, prawie nieodparty. Zdawało mi się, że moja miłość nie jest już czymś niepożądanym i śmiesznym, ale że posiada właśnie wzruszające piękno i urok tej muzyki, stwarzającej niby sympatyczne środowisko, gdzieśmy się spotkali z tą, którą kochałem, stawszy się nagle sobie bliscy.

Restaurację tę odwiedzał nie tylko półświatek, ale także ludzie najwytworniejszego świata, przychodzący na podwieczorek około piątej lub wydający tam wielkie obiady. Podwieczorek odbywał się w długiej i wąskiej oszklonej galerii w kształcie korytarza. Wiodąc od sieni do jadalni, korytarz ten miał po jednej stronie ogród, od którego dzieliło go, poza kilkoma kamiennymi filarami, jedynie otwierane tu i ówdzie oszklenie. Wynikały stąd, poza licznymi przeciągami, nagłe i dorywcze wtargnięcia słońca, fantastyczne oświetlenia, niepozwalające prawie rozpoznać obecnych kobiet; kiedy tam siedziały, stłoczone po dwa stoliki w całej długości wąskiej gardzieli, mieniać się w świetle za każdym ruchem uczynionym przy picciu herbaty lub ukłonie, robiło to wrażenie zbiornika, więcierza, gdzie rybak nagromadził olśniewające ryby, które, wpół wystając z wody i skąpane w promieniach, migocą mieniającym się blaskiem.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.